czas. 12442/3/21
Spec. 59

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 18 MAJA 1935 R. * NUMER 20 (85)

TREŚĆ: J. HEŁM-PIRGOWA: Uspołecznienie a kultura * W. CZEREŚNIEWSKI: Codziennieś dumny. — Żyto widzę * JERZY OSTROWSKI: Ciosy w próżnię * M. KASPROWICZOWA: O romantyzmie polskim i rosyjskim realizmie * M. NEUTEICH: Na marginesie projektu utworzenia Izby Muzycznej * ST. PRZEWORSKI: Wystawa sztuki perskiej * R. KORDĘSKI: *Rzeczpospolita poetów* — nagrodzona * ST. WESTFAL: Kongres kultury litewskiej * WŁ. SEBYŁA: Poezja * K. IRZYKOWSKI, A. ŁASZOWSKI i WŁ. PIETRZAK: Teatr * ST. FURMANIK: Muzyka * J. R., A. HEFLICH: Kronika.

USPOŁECZNIENIE A KULTURA

P. W. Makowiecki w artykule *Uspołecznienie a pełnia życia*[1] wychodzi z założenia, że człowiek ma prawo do pełni życia, a nie znajduje jej w wymaganem przez naszą epokę zupełnem podporządkowaniu swej osobowości organizacji społecznej, państwowej. Twórczy jest ten, kto rządzi, od rządzonego wymaga się posłuchu. Im mniej dziedzin życia podporządkujemy organizacji, tem więcej zostawiamy „szaremu człowiekowi" pola do inicjatywy, twórczości, słowem, wyżycia się.

Narzuca się jednak pytanie, czy państwo nie ma prawa zażądać od swych obywateli wyrzeczenia się pełni życia, tak jak nieraz musi żądać ofiary z życia wogóle dla celów wyższych, ogólniejszych. I czy właśnie przeżywamy taką chwilę, że żądanie to jest uzasadnione ową wyższą racją. Przypuśćmy, że tak. Sytuacja polityczna, powszechne w świecie dążenie do przebudowy ustroju społecznego domaga się napięcia sił obywatelskich, aby ciężar zagadnień i prac udźwignąć.

Czy jednak uspołecznienie, w sensie, przyjętym przez autora, jest dla państwa korzystne? Jeśli tak, to trudno. Obywatele stają się żołnierzami, którym los wyznaczył ciężki i nieefektowny, ale odpowiedzialny posterunek.

Ale droga „uspołecznienia", którą od wielu lat z trudem, z wysiłkiem i poświęceniem kroczymy, nie wiedzie do celu. Owszem, kryje w sobie zasadzki, zbacza na manowce.

Jak wygląda uspołecznienie nie to, które się wyraża w skrupulatnem płaceniu podatków, pełnieniu służby wojskowej, stosowaniu się do przepisów i rozporządzeń, interesowaniu się sprawami publicznemi i zdolności do oddźwięku na głos Wodzów, gdy godzina uderza..., nie to, bo takie uspołecznienie jest koniecznością organizacji państwowej, bo brak takiego uspołecznienia wiedzie do zniszczenia własnej państwowości, bo słabe uspołecznienie tego rodzaju czyni organizm państwowy słabym i niezdolnym do zapewnienia swym obywatelom nietylko wartościowego stanowiska w hierarchji państwa, ale nawet wolności i korzystania z postępu cywilizacji. Takiego uspołecznienia musimy się domagać i czynić wszystko, aby stało się ono właściwością najszerszych mas. A do ideału w tym względzie dość nam daleko.

W czem natomiast przejawia się uspołecznienie, o którem mówi p. Makowiecki w swym artykule?

1. W karności w myśleniu, wyrażającej się entuzjazmem dla wszelkich poczynań i pomysłów bliższej i dalszej władzy. Właśnie o ten entuzjazm chodzi, o aplauz, którego źródłem jest zresztą rzadko kiedy zrozumienie intencyj poczynania, a zbyt często fałszywe poczucie konieczności czapkowania, konieczności optymistycznego uśmiechu wobec wszelkich zjawisk historycznych, jakie przeżywamy. A że tempo życia wielkie, że każdy rok, miesiąc, tydzień przynosi nam zmiany, więc „szary człowiek" nie drogą własnego przemyślenia, ale z konieczności dziejowej jużto entuzjazmuje się deflacją, jużto inflacją, jużto wygraża pięścią potomkom Krzyżaków, jużto gotów przywitać wycieczkę niemiecką okrzykiem: *Heil Hitler!*

Ostatecznie, jaki jest kościec takiego człowieka? Glinę łatwo lepić, ale na glinianych nogach państwo nie ustoi.

Te rzeczy są poza polem widzenia „kasty" rządzących. „Tam" człowiekowi, który przeprowadził proces inflacyjny, nikt nie zaproponuje opracowania programu deflacji, a temu, kto się zaangażował w ten czy inny sposób w polityce przeciwniemieckiej, nie zaproponują misji nawiązania przyjaznych stosunków z Rzeszą. „Tam" ludzie z programem swym przychodzą i — gdy trzeba — odchodzą. „Tam" nikt się nie sili na naiwną promienność optymizmu wobec wszelkich zjawisk, jakie przeżywamy; „tam" padają słowa twarde i bezwzględne, „tam" jest możliwa nawet nagroda państwowa za „Grypę", która „szaleje w Naprawie".

Ale to wszystko „tam".

Im niżej, tem bardziej każdy stara się przez lojalność być *plus catholique que le pape* i proces ten wyjaławia umysł i niszczy charakter.

Jest zresztą w tym procesie coś z reakcji neofickiej przeciw warcholstwu, nadmiernej krytyce, sobiepaństwu i żółciowej hipochondrji ubiegłych setek lat (no i dzisiejszej opozycji), ale reakcja ta przybiera charakter niepożądany, zwłaszcza w wielkich masach urzędniczych, mających „coś" do stracenia. Rewolucyjna odwaga bezrobotnej poczęści młodzi ma w dużej mierze źródło w tem, że właśnie nie ma nic do stracenia.

Im państwo mniej dziedzin życia obejmuje, na tem mniejszym terenie jest rozkazodawcą, lecz w zakresie swoich zadań może i musi żądać zupełnej karności. Karność w działaniu. Mimowoli nasuwa się hasło Szczepanowskiego: „Swoboda w myśleniu, karność w działaniu".

Ciążenie państwa, władzy nad myślą człowieka-obywatela jest niebezpieczne i z innego względu. W jednostkach silniejszych, a więc wartościowszych, budzi opór, tworzy ideową opozycję. Co bez presji byłoby akademicką dysputą, literackiem rozważaniem, filozofowaniem przy czarnej kawie, to pod presją moralną staje się spiskiem. Niejeden niezależny umysł zostaje w ten sposób, z przypadku, wbrew swej woli, niebezpiecznym opozycjonistą... Współczesność przykładów nie skąpi w żadnym kraju.

2. Druga forma dzisiejszego „uspołecznienia" — to przymus dodatkowych danin społecznych i pracy społecznej.

I tu nastąpiło zwyrodnienie.

Idealne byłoby państwo, gdyby miało środki na zaspokojenie wszystkich potrzeb swych obywateli. Ale żeby je miało, musieliby tych środków obywatele dostarczyć, t. zn. musieliby je mieć. Błędne koło. Tymczasem państwo, obejmując coraz więcej dziedzin życia, nie zdołało nigdzie w świecie w ramach swej organizacji zaradzić wszystkim potrzebom. I część zadań przekazuje organizacjom społecznym, utrzymującym się doniedawna faktycznie, a dzisiaj jeszcze teoretycznie ze świadczeń dobrowolnych. Świadczenia te coraz bardziej zmieniają się na przymusowe. Jedne z organizacyj społecznych mają charakter mniej lub więcej charytatywny, inne służą celom wojskowym. Niema rady. Póki nie nastąpi zmiana w ustroju społecznym i w stosunkach międzynarodowych, tak jeszcze być musi. Opłaty na rzecz L. O. P. P., Ligę Morską i Kolonjalną, Czerwony Krzyż, bezrobotnych czy powodzian są niczem innem, jak dodatkowemi podatkami, płaconemi w głównej mierze przez urzędników. W niektórych zwłaszcza wypadkach społeczny, a więc pozabudżetowy charakter tych świadczeń jest dzisiaj uzasadniony.

Na tem się jednak nie kończy „dobrowolny" obowiązek obywatela. Pozostaje jeszcze t. z. praca społeczna. Gdyby kierownictwo tą pracą na każdym odcinku było fachowe, wartościowe, a każdy obywatel do daniny w pieniądzu dodał pewną ilość, choć niewielką, ale rzetelnej i potrzebnej pracy, systemowi temu z punktu widzenia społecznego nicby zarzucić nie można. Organizacja społeczna tem się jednak różni od państwowej, że, opierając się na ofiarności i dobrowolnej pracy, nie ma tych praw i tej egzekutywy wobec swych członków, co państwo wobec obywateli, nie ma też często fachowego i odpowiedzialnego kierownictwa. Dlatego też obserwujemy w organizacjach społecznych masę marnującej się energji ludzkiej i czasu na rzeczy często niepotrzebne, nieprzydatne, a przynajmniej nieproporcjonalnie mało wartościowe w stosunku do włożonego wysiłku.

Ten brak ekonomji w dysponowaniu siłami ludzkiemi nie jest jedynem złem dzisiejszej „pracy społecznej". Od czasu, gdy padło teoretycznie słuszne hasło „przywilejów dla ofiarnej pracy społecznej", zaczyna się demoralizacja w szeregach „ofiarników". Następuje nie wyścig pracy, lecz wyścig ku zdobyciu największej ilości tytułów do „zasługi". Jakże trudno w tych warunkach uniknąć zakłamania, jak częste są pozycje dla efektu, nie dla celu. A jakże jest ułudna i ułamkowa kontrola społeczna nad organizacjami, jak mała w gruncie rzeczy odpowiedzialność tych, co kierują organizacją, jak lekkomyślne i nieprzemyślane często dysponowanie groszem publicznym. Jeżeli taka np. akcja „T-wa budowy szkół powszechnych" daje pozytywne wyniki, to dlatego, że kierownictwo i kontrola są skoncentrowane w odpowiedzialnych urzędach państwowych.

Z tem wszystkiem nastąpiło niebezpieczne przesunięcie w ocenie pracownika. Mamy szacunek dla „speców" i tym dajemy spokój, ale jako speców oceniamy niewielu; pozatem nakłada się na pracownika obowiązki pracy społecznej, nie bacząc, ile na tem ucierpi normalna, zawodowa praca, za którą pracownik powinien i musi wziąć odpowiedzialność. Nauczyciel, zajęty nadmierną pracą społeczną, w godzinach szkolnych mimowoli myślący o tej pracy, jest złym nauczycielem, złym wychowawcą: nie ma czasu przygotować się do lekcji, porządnie poprawić zeszytów, nie ma czasu czytać, nie staje mu — i to najważniejsze — energji psychicznej ani zainteresowania dla tych spraw i tamtych. To samo da się powiedzieć o każdym zawodzie, wymagającym inteligencji, inicjatywy i kształcenia się. Posady zaś, gdzie pracownik ma ulgi dla pełnienia jakichś obowiązków społecznych, są demoralizujące. Wywołuje to wrażenie, że kto pracuje „społecznie", ten może mało lub źle pracować „urzędowo". Czy nie lepiej poprostu ważną a wymagającą wiele czasu placówkę społeczną uczynić płatnem stanowiskiem?

Wartoby się jeszcze zastanowić nad dwoma uboczemi produktami omawianego „uspołecznienia".

Pierwszy to dezorganizacja życia rodzinnego. Klub, lokal stowarzyszenia zaczyna zastępować dom i to nietylko młodzieży, co byłoby i naturalniejsze i mniej szkodliwe. Odlot z domu to prawo młodości. Ale lokal stowarzyszeniowy pochłania ojców, a nawet matki. Tak było w Bolszewji, wynikało to z programu, w którym nie znajdowano miejsca na rodzinę. Jeśli jednak chcemy utrzymać rodzinę jako komórkę społeczną, musimy się zgodzić, że wymaga ona także czasu. Ojciec, który wieczory spędza na zebraniach, a niedziele na zbiórkach i uroczystościach ogólnych, wie o rodzinie tylko tyle, że musi łożyć na jej utrzymanie.

Drugi produkt „uspołecznienia" ma podłoże szersze: wiąże się z zagadnieniem stosunku pracy do kultury. Kultura wymaga nietylko twórców, ale i spożywców. Kiedy walczono o 8-godzinny dzień pracy dla robotnika, to w imię tego, aby nie był bydlęciem roboczem, któremu życie upływa na pracy dla drugich i na śnie po pracy; żeby miał czas i siły dla siebie, na gazetę, na książkę, na rodzinę, na odpoczynek, na „pomyślenie". Dziś robotnik (nietylko bezrobotny) ma czas. Dostarczmy mu tylko książek, gazet, taniego teatru.

Zato inteligencja przeżywa kryzys kulturalny. Poważna sztuka w teatrze, dzieło naukowe, koncert symfoniczny—to wymaga nietylko ostatnich godzin doby, ale także pewnej świeżości umysłu, pozwalającej wchłonąć taką strawę duchową. Słowem, trzeba mieć czas, aby być człowiekiem kulturalnym. Istnieje jeszcze wśród inteligencji wiekiem nieco starszej tradycja: *noblesse oblige;* jeszcze ten i ów uważa, że wypada pójść na Szekspira, skoro go dają, na wystawy obrazów, choć się nie jest ani malarzem, ani krewnym malarza, że wypada przeczytać książkę, o której mówią. Ale ta tradycja powoli zanika; inteligent młodszej generacji, jeśli ma ambicje kulturalne, zadowala się recenzją książki czy wystawy, w najlepszym wypadku książkę przerzuci... Przeżyć książkę, przemyśleć ją — kto to dziś potrafi? Natomiast coraz więcej jest takich, którzy ostatni wiersz w swem życiu, ostatnią „naukową" książkę — poza dziedziną swojego zawodu — przeczytali w VIII kl. gimnazjum.

„Poza dziedziną swego zawodu". Ta część zdania jest właściwie zbyt optymistyczna. Możnaby ją zastosować chyba z myślą o uczonych, profesorach uniwersytetu. Bo pozatem? Który nauczyciel ma czas interesować się literaturą swego przedmiotu? Który referent ministerstwa może pozwolić sobie na coś więcej, niż na przerzucenie przygotowanych przez mniejszego urzędnika wycinków z gazet, uchwał, tez, streszczeń? Chyba jedynie technicy dokształcają się na serjo w swoim zawodzie, bo inaczej życie wyrzuci ich poza nawias bardzo szybko. Ale czy także nie dlatego nie przeraża nas rozpiętość między możliwościami postępu techniki a zastojem, jeśli nie cofnięciem się kul-

[1] *Pion* z dn. 9 marca 1935 r.

CODZIENNIEŚ DUMNY

Codziennieś dumny i chełpliwy,
I zawsze, butnie pewien siebie,
Zuchwałyś, ale nieprawdziwy;
Niech powie świerk w podniebie.

Biegniesz wśród pni przez las w podskokach
I pień spotkany klepiesz dłonią,
Braterskie zrozumienie w sokach!
Niech się siły przegonią.

Tylko, że ciągle i na ręku
Zostawiasz — nie na pniu — odciski,
Nieczytelność kory, przy sęku
Zaś żywiczne zapiski.

Proszę, dobywaj człeczej wprawy,
Gdyś taki dumny, taki silny,
A kora, której polor rdzawy,
Czy przyjmie ślad niemylny!?

ŻYTO WIDZĘ

Żyto widzę wystałe już, dojrzewające,
Złote, po którem pełga jasne słońce,
A tam owies zielony w kłosach potargany,
Lekko dymiącym wiatrem przewiewany.

A ja pośrodku stoję: tu owies, tam żyto
Wychyla zadzierzysto gęstwę swą obfitą.
A ja pośrodku właśnie. I wydać się może,
Że grodzę, że rozdzielam kłosami to zboże.

Ale je miedza dzieli. Miedza, miedza grodzi,
Iż każde zboże sobie samemu przewodzi.
Bo przeznaczeniem mojem jest spajać a łączyć,
I odrębne cząstki — ogromem zakończyć.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

W 1454/28/11

uras. 12442/3/19

tury duchowej? Lekarz, czytający dzieła filozoficzne, inżynier, biorący do ręki tomik poezyj — nie, to zestawienie wygląda złośliwie, zabawnie, — więc powiedzmy: biorący do ręki książkę historyczną, jest dzisiaj zjawiskiem osobliwem.

A wśród wielu przyczyn — przepracowanie i brak czasu odgrywają rolę najważniejszą. I to w epoce, kiedy miljony bezrobotnych z zazdrością patrzą na zmęczonych, utrudzonych nadmierną pracą. Ale te rzesze także nie stać na przebywanie w świecie kultury: mają czas słuchać muzyki, nie mają pieniędzy, aby kupić bilet na koncert.

To prawda, są czasy, kiedy ze spożywania kultury trzeba zrezygnować, jak się rezygnuje nie powiem z deseru, ale właśnie z pożywnego chleba i zadowala się ziemniakami, a o twórców kultury nie dba się więcej, niż o wykwintnych kucharzy, gdy śpiżarnie puste. Ale jedno i drugie jest stanem wyjątkowym, mniej lub więcej krótkotrwałym. Żeby taki stan nie wywołał wycieńczenia i zniszczenia żywotności organizmu, żeby taki stan nie wywołał depresji wartościowszych jednostek i upadku cywilizacji społeczeństw, musi być widoczna jasno meta wysiłku i czas przybycia określony w przybliżeniu. Rząd bolszewicki dobrym psychologiem się okazał, zamykając plan zorganizowanego ponad przeciętną miarę wysiłku w okres „piatiletki". Natomiast wysiłek taki w permanencji jest nie do zniesienia i zwraca się przeciwko samej idei, na której usługi powstał. Poświęcenie i ofiara całopalna to nie są rzeczy na codzień, nie łudźmy się też, że owe tysiączne rzesze dzisiejszych społeczników goreją stale ogniem zapału i chęcią najlepszego służenia sprawie.

A jeżeli tak, to należy zastąpić „ofiarność" społeczną obowiązkiem społecznym i obowiązkowi temu w y z n a c z y ć w ł a ś c i w e r a m y i g r a n i c e. Zyska na tem sprężystość i wartość samej pracy i wysiłku, zniknie demoralizujący wyścig za efektem i poklaskiem, a w związku z tem znikną te ujemne objawy, jakie przeniosły się z terenu dawnego partyjnictwa na teren organizacyj społecznych (tarcia, niesnaski, intrygi, zawiści, rozłamy — to rzeczy znane i zastraszające); wreszcie zwiększy się obszar rekrutacyjny dla tego obowiązku społecznego, który dzisiaj dźwigają prawie wyłącznie sfery urzędnicze.

To zyski dla państwa doraźne.

A dla obywatela? odzyska przekonanie, że po spełnionym obowiązku dla państwa wolno mu być nietylko obywatelem, ale i człowiekiem: ojcem rodziny, melomanem, hodowcą hiacyntów i czem chce. Wolno mu czytać, myśleć, marzyć... Ten rozsypany w czasie kapitał energji, wzruszeń, doświadczeń i przemyślań wchłonie zpowrotem państwo w postaci rozwijającej się kultury.

JANINA HEŁM-PIRGOWA

CIOSY W PRÓŻNIĘ

Nawiązując do artykułu p. Jana Dąbrowskiego, wzywającego pisarzy do wypowiadania się w sprawie projektowanych zmian w pisowni („Dyktatura językoznawców", *Pion* nr. 16) — pragnąłbym stwierdzić, że dyskusja taka wydaje mi się niezbędną przedewszystkiem dla wyjaśnienia, kto walczy, przeciw komu, o co i przeciw czemu.

Jeśli ma się odbywać jakieś spotkanie „na udeptanej ziemi", to trzeba, aby naprzód ta ziemia była istotnie wyrównana i udeptana oraz oczyszczona z chwastów. W gąszczu nieporozumień bowiem ciosy trafiać mogą niezupełnie tam, gdzie należy.

Dotychczas zaś cała dyskusja — jak mi się zdaje — toczy się na fałszywej zgoła płaszczyźnie: „zamachu" na mowę ojczystą i jej „patrjotycznej" obrony. Ujęcie to, niepozbawione pewnej symplifikacji i demagogji, znajduje poklask u szerokiej publiczności, gruntownie niezorjentowanej w zagadnieniu, ale nie powinno chyba wystarczać dyskutującym „wysokim stronom" — jak się to mówi w protokółach dyplomatycznych.

Na początku przypomnieć należy, co zresztą już było poruszane w prasie, że nie może być mowy o dyktaturze, ani nawet o wyłączności językoznawców, skoro do Komitetu Ortograficznego weszli — prócz nich — również przedstawiciele literatów, dziennikarzy, nauczycielstwa i władz szkolnych, a nawet wydawców. Ponadto w składzie Komitetu uwzględnione zostały wszystkie regjonalne środowiska językowe, liczono się bowiem z pewnemi różnicami w wyczuciu językowem poszczególnych krain Polski.

Prac swoich Komitet nie ma zamiaru osłaniać tajemnicą, ani zakazywać swoim członkom publicznego zabierania głosu w dyskutowanych sprawach, przeciwnie: zdąża do prowokowania dyskusji i stałego informowania społeczeństwa o postępach swych prac.

Wreszcie uchwalony przez Komitet regulamin pomyślany jest w ten sposób, że uniemożliwia zbyt pochopne przyjęcie jakiegoś radykalnego wniosku i zaskoczenie mniejszości (a tembardziej większości) Komitetu.

Łamanie rąk zatem z powodu rzekomego milczenia literatów „w sprawie, która ich przedewszystkiem powinna obchodzić", dowodzi tylko, że wysuwający ten zarzut sami nie zainteresowali się i nie zapoznali ze stanem zagadnienia, o którem chcą decydować. Im więc raczej można zrobić zarzut obojętności.

Zresztą — wbrew utyskiwaniom — wypowiedziało się już na omawiany temat sporo literatów, choć nie wszyscy równie fortunnie. A przedewszystkiem wypowiedzieli się ci, którzy na podstawie autopsji i własnej współpracy najbardziej byli do tego upoważnieni, mianowicie p. Boy-Żeleński i p. Z. Nowakowski. I znamienne, że pobyt w owej jaskini lwów lingwistycznych nie wydał im się bynajmniej straszny. Przeciwnie—stwierdzili publicznie, że zagadnienia ortograficzne są w Komitecie dyskutowane bardzo oględnie, trzeźwo i życiowo, bez doktrynerstwa, radykalizmu i „mandarynizmu", że brane są pod uwagę zarówno względy tradycji, jak potrzeby postępu społecznego i że niema powodu obawiać się zmian rewolucyjnych i nieżyciowych. Komitet złożył zresztą niejako hołd tradycji przez ogólne postanowienie nieodstępowania bez poważnego powodu od przekazanego nam „obrazu graficznego" języka. (Jako ilustrację ostrożności w decydowaniu o tych sprawach przytoczyć można artykuł prof. Nitscha w Nr. 2 *Języka Polskiego* jeszcze z 1933 roku, gdzie wypowiada się on raczej przeciw zmianom projektowanym przez pewnego nauczyciela-polonistę. Warto to przytoczyć, aby — w razie umiarkowanych zmian uchwalonych przez Komitet — niepowołani obrońcy nie triumfowali, że to protest narodu, przez nich wywołany, ostrzegł Komitet i zmusił do umiarkowania).

Szereg innych głosów literatów w tej sprawie robi — niestety — już wrażenie wiecowo-dziennikarskie tonem i poziomem dyskusji. Tak więc bardzo niepoważnie wyglądają takie okrzyki, jak „kaleczenie, niszczenie własnej, dostojnej mowy"..., „na co nie ważył się wróg, pragną dokonać swoi"..., „nawet bolszewicy zatrzymali się przed dalszemi zmianami..." i t. p.

Niepoważne wrażenie robią projekty pewnej pisarki, która żąda zwołania „wielkiego, ogólnego, uczciwego plebiscytu", który miałby zdecydować o reformie ortografji. Niepoważnie wygląda jej argument, że od reformy pisowni „jeden skok do skreślenia synonimów"(?). Niepoważny jest jej zarzut, że reforma ma tylko na celu uproszczenie pracy „matołom" w szkole, aby mieli więcej czasu na kopanie piłki. I bardzo niepoważnie brzmią podawane w niektórych artykułach przykłady pewnych wyrazów według rzekomo nowej pisowni (*kżyż* lub *kżysz*, *pżykład* i in.) świadczące o braku poczucia językowego i braku orjentacji w prądach istniejących w Komitecie, ktory się krytykuje i potępia.

W obronie owych „matołów" szkolnych zauważyć jeszcze należy, że reforma pisowni przyczyniłaby się niewątpliwie do ułatwienia i zracjonalizowania pracy dziecka w szkole i że jest to sprawa zbyt poważna i obszerna, aby można się z nią było załatwić frazesem o „upraszczaniu pracy matołom".

Skądinąd bagatelizowanie trudności, które dziecko pokonać musi przy opanowywaniu pisowni, jest w pewnym stopniu zrozumiałe: znane jest w psychologji zjawisko, że przykre wspomnienia z dzieciństwa są podświadomie „spychane w niepamięć" i zostaje tylko pamięć jakiegoś łatwego i szczęśliwego „złotego wieku". Pozatem większość literatów — jak to chyba można z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać — była zapewne w młodości gromadką dzieci wybitnie zdolnych i inteligentnych, które mniej miały trudności z przyswojeniem sobie zasad ortografji, niż mniej szczęśliwa reszta. Z codziennej jednak praktyki szkolnej można stwierdzić bezwątpienia, że praca ta nie idzie wcale dzieciom zbyt łatwo. Dość wspomnieć, że na zdobycie całkowitej swobody w posługiwaniu się pisownią nie wystarcza nieraz nietylko sześć czy siedem lat szkoły powszechnej, ale i dalszych sześć lat szkoły średniej. Ba! — błędy w pisowni robią ludzie należący bezwątpienia do elity intelektualnej, nie wyłączając — literatów.

Praca, którą dziecko wkłada w opanowanie pisowni, nietylko że jest istotnie duża, ale ma również charakter czysto mechaniczny, pamięciowy i bierny, nie ma więc żadnych wartości kształcących umysł. Odciążenie umysłu dzieci od nadmiaru tej pracy umożliwiłoby rozszerzenie zakresu wiedzy, dającej realne wiadomości o świecie i kształcącej rozumowanie młodego umysłu. Jaką zmorą jest w szkole nauczanie ortografji, mogliby powiedzieć nauczyciele-poloniści, stale przywaleni stosami zeszytów z wypracowaniami, które muszą poprawiać nie pod kątem kształcenia stylu i myśli, lecz właśnie pod względem ortografji, która — wbrew popularnym poglądom — nie jest wcale łatwiejsza np. od francuskiej. Zważyć przytem należy, że dziecko dzisiejsze ma znacznie więcej materjału naukowego do opanowania, niż 20 lub 30 lat temu. (Już samo narastanie historji mówi o tem). Z punktu więc widzenia szkolnictwa i ze względów na interes młodzieży, która i tak więcej „kuje", niż uczy się — reforma pisowni byłaby niezmiernie pożądana.

Przykłady języków jeszcze trudniejszych niż nasz, jak np. angielskiego, niczego jeszcze nie dowodzą, gdyż rozumując w ten sposób, możnaby się powoływać z entuzjazmem na konserwatyzm Chińczyków, wzbraniających się wyrzeczenia iluś tam tysięcy „charakterów", których poznawanie stanowi główny cel nauki trwającej kilkanaście lat.

Wydaje mi się, że kurczowe trzymanie się form utartych, choćby życie samo od nich odchodziło i choćby utrudniały pojęty rozumnie postęp, jest szkodliwe i nie da się uzasadnić największem nawet przywiązaniem do tradycji.

Zapewne, przyzwyczajenie a nawet przywiązanie do „obrazu graficznego" naszej mowy może powodować estetyczną niechęć do nowego wyglądu wyrazów, ale niechęć ta nie trwa długo, gdyż przychodzi — szybciej, niż się wydaje — przyzwyczajenie i do nowych form. Tak np. zniesienie w pisowni rosyjskiej litery *jat*, „twardego znaku" i łacińskiego *i* raziło początkowo ogromnie zarówno Rosjan, jak nawet Polaków znających język rosyjski, dziś jednak książki i gazety drukowane nową pisownią czyta się bez przykrości. (Mówiąc nawiasem, projekt tej reformy nie jest — wbrew popularnemu przekonaniu — dziełem bolszewików; był on opracowany przez rosyjską Akademję Naukową jeszcze za czasów carskich, rząd sowiecki skorzystał tylko z gotowego projektu).

Za reformą przemawiają również względy emancypacji społecznej, ale właśnie tak charakterystyczny dla nas snobizm, wyrażający się nadmierną nieraz drażliwością i drobiazgowością w zakresie przyjętych form językowych i skłonnością do drwin z popełnianych przez „prowincję" lub „niższe" warstwy błędów — będzie przedewszystkiem upierać się przy utrzymaniu jak największych trudności w opanowaniu języka, uważając to za „probierz socjalny".

Szereg innych argumentów, poruszonych w toczącej się dyskusji, ma również mniejszą wagę gatunkową, niż to się wydaje autorom. Tak np. rzekoma konieczność przedrukowywania wszystkich książek bynajmniej nam nie grozi. Należy bowiem zważyć, że przedewszystkiem różnice będą — jak można się spodziewać — tak niewielkie, że żadnych trudności w czytaniu nie spowodują, następnie zaś pamiętać należy, że życie książki nie jest dłuższe, niż życie jednego pokolenia. (Notabene: dzieła o charakterze dokumentów są badane zazwyczaj przez specjalistów uczonych, którym to nie sprawia również poważnej trudności).

Dyskusja merytoryczna co do poszczególnych zmian (jak np. rozróżnianie *h* i *ch* w wymowie przez Polaków kresowych) rozsadziłaby zbytnio ramy niniejszego artykułu. Interesujący się jednak naprawdę tą sprawą znajdą kopalnię materjału do rozważań w czasopiśmie *Język Polski* (np. w nr. 1 z 1935 r.), zamało — jak mi się zdaje — studjowanem przez zabierających głos w dyskusji „ortograficznej", a nawet przez „ludzi słowa i pióra" wogóle.

Tu chciałbym tylko zaznaczyć, że dyskusja w tak ważnej i poważnej sprawie powinnaby chyba być prowadzona w atmosferze rzeczowości i kompetencji, a nie demagogji i uzurpowania sobie prawa do wyrokowania o zagadnieniach, które się zna ledwie powierzchu, i dyktowania rozstrzygnięć tym, którzy mowę polską kochają niewątpliwie conajmniej tak, jak my, a znają ją napewno znacznie gruntowniej.

A może się mylę? Może właśnie nieco hałasu, zacietrzewienia i skrajności wychodzi na dobre popularyzacji zagadnienia? Może przyciąga uwagę, jak jaskrawy afisz, i budzi — ospale naogół — zainteresowanie naszej publiczności?

Ale w takim razie powiedzmy sobie przynajmniej czasem na ucho, jakie są prawdziwe rozmiary i kontury sprawy.

P. S. Już po napisaniu powyższego artykułu ukazał się nr. 2 *Języka Polskiego*, w którym prof. Zenon Klemensiewicz omawia dotychczasowy plon prasowej *Walki o ortografję*. Znaleźć tam można wiele słusznych komentarzy merytorycznych, które ja świadomie pominąłem, nie czując się na siłach do wyczerpującej dyskusji fachowej i nie chcąc rozstrzelać uwagi czytelnika: chodziło mi bowiem tylko o charakterystykę formy tej dyskusji. Wydaje mi się jednak, że zarówno pisarze, zabierający głos w tej sprawie, jak ci nałogowi korespondenci-prenumeratorzy gazet, którzy liczą na umieszczenie ich „głosów" w prawdziwym dzienniku i wypowiadają się zarówno w sprawach programów radjowych i nieporządków w ubezpieczalniach, jak w kwestji ortografji — powinni przestudjować dokładnie wspomniane pismo. Inaczej przypominać będą owych średniowiecznych scholastyków, którzy nie chcieli popatrzeć w lunetę Galileusza, z obawy, żeby się nie przekonali o swoich błędach.

JERZY OSTROWSKI

O ROMANTYZMIE POLSKIM I ROSYJSKIM REALIZMIE

Po raz pierwszy zabrałam się tego roku na wakacjach do czytania *Lalki* Prusa. Zachęcił mnie do tego Zygmunt Nowakowski: — To nadzwyczajna książka—powiedział— i musi ją pani poznać koniecznie.

Przeczytałam te trzy tomy z zaciekawieniem, lecz ani przez chwilę nie doznałam podniesienia temperatury wewnętrznej, którą zwykle wywołuje w nas dzieło pokrewne nam duchowo, gdy zespolenie z myślą autora daje jedną z największych rozkoszy, jakie znamy. Ani na chwilę nie udało mi się zatracić wobec autora objektywnie krytycznego stosunku, tak dalece, że mimowoli zapytałam siebie: może przeszkadza naszemu porozumieniu to właśnie, że jestem Rosjanką, a Prus rasowym Polakiem? Że pod innym kątem patrzymy na życie?

Oto np. ten niewątpliwy fakt, że Prusa zajmuje jakby wyłącznie rzeczywistość społeczna, układ i ustosunkowanie wzajemne różnych jej warstw i wynikające z tych przeciwieństw konflikty, zawikłania i dramaty. Mnie zaś, wychowaną na klasykach rosyjskich, przykuwa do siebie przedewszystkiem sam człowiek, niezależnie od tego, jakie wydało go środowisko: nie tyle fakt, dlaczego kobiety z arystokracji nie lubią kupców, co zagadnienie psychiki kobiecej wogóle, dotyczące w jednakowym stopniu panny Łęckiej jak i byłej prostytutki, *protegée* Wokulskiego, panny Marysi.

Może dlatego ludzie Prusa wydają mi się niezupełnie żywi. Są to doskonale ucharakteryzowani panowie i panie, którzy bez zarzutu odgrywają swoje role. Lecz g r a j ą, nie ż y j ą.

Najbardziej żywy pomiędzy nimi jest bezwątpienia sam Wokulski. Kto wie, czy nie dlatego, że wypowiada najbardziej własne uczucia autora i że Prus przy jego pomocy wyzwalał się z jakiejś wielkiej osobistej męki. Inaczej trudno wytłumaczyć, dlaczego na całym obszarze ówczesnego życia nie odnalazł ani jednego pozytywnego kobiecego typu (bo anielskość prezesowej nie jest przekonywająca — w tak sędziwym wieku każda kobieta, nawet panna Łęcka, może nawrócić się na drogę cnoty; a dobra i piękna pani Stawska nie jest wogóle żadną indywidualnością).

Trudno zrozumieć, aby tak doskonały obserwator, jakim był Prus, mógł zupełnie przeoczyć typ, który wytworzyły lata niewoli: kobiety, niekiedy przypominającej swoim wyjątkowym stosunkiem do spraw ojczyzny i własnego narodu bohaterki antycznych tragedyj. I że kobiety polskie milcząco pogodziły się z tym nieubłaganym wyrokiem Prusa? Nie powiedziały mu wprost: Nie umiesz patrzeć, jeżeli zobaczyłeś w Polsce same histeryczki, kokoty lub kobiety, dla których pieniądz stanowi wszystko.

No, niechby *Lalka* została przetłumaczona na jakiś język obcy. Jakież spaczone pojęcie o kobiecie polskiej wyniósłby z tej książki każdy cudzoziemiec!

Może to być zresztą zgóry powzięty zamiar pisarza — *parti pris* —, który naświetla reflektorem tylko potrzebne mu części organizmu, najbardziej chore? Lecz poco roztaczać przed czytelnikiem tak wielką panoramę, w której miało się zmieścić nieomalże całe ówczesne społeczeństwo? To właśnie myli.

Od początku do końca swojej książki był Prus dla społeczeństwa swego nieubłagany: dla kobiet jak i dla mężczyzn. Bo nawet Wokulski, ten najsilniejszy i niewątpliwie najciekawszy pośród innych, robi aż za często wrażenie człowieka dość niezdecydowanego, który, aby czemś być, potrzebuje zewnętrznego bodźca.

Skarży się: „To o n i są winni twoim, moim i naszym nieszczęściom!" Jakgdyby naprawdę ktoś ponosił winę i współodpowiedzialność za to, że zakochał się w pannie Łęckiej, i jakby miał przez to zamkniętą drogę do zbudowania sobie własnego życia na własnych podstawach. No niechże która z nas, kobiet, spróbuje zakochać się w następcy tronu angielskiego i potem narzeka:

NR. 20 (85) P I O N 3

Co ze mną zrobiła ta okrutna Anglja! Nie miała dla mnie względów! Bo jakaż na to mogła być rada, że panna Łęcka nie znosiła kupców i wogóle była... taka, jaka była? Nie wynikało z tego zupełnie, że Wokulski powinien był skończyć tak, jak to zrobił.

Stwierdza z goryczą, że nikt nie podał mu ręki, nie pomógł mu zrobić karjery i majątku, lecz wiemy, że zawsze i wszędzie te rzeczy należały wyłącznie do człowieka samego i że tylko pasorzyty zwykły trzymać się cudzych pleców i z zewnątrz szukać pomocy.

„Wszystko co umiem — skarży się Wokulski — „wszystko co mam, wszystko co zrobić jeszcze mogę, *nie pochodzi stąd*. Tu znajdowałem tylko upokorzenie, zawiść, albo wątpliwej wartości poklask, gdy mi się wiodło, lecz gdyby mi się nie powiodło, zdeptałyby mnie te same nogi, które dziś się kłaniają". I oczyma duszy widział szerokie i niezwykłe życie swoje jakby rozpięte między Dalekim Wschodem i Dalekim Zachodem.

Dlaczego tak jest rzeczywiście, że „klimat" polski, chociaż najbardziej umiarkowany (Polacy są chyba najłagodniejszym narodem w Europie, rozmiłowani w wolności) jest taki, jaki jest?

Wokulski zastanawia się. I tu uderzył go jeden szczegół: kiedy z własnej literatury wynosił złudzenia, które zakończyły się rozkładem jego duszy — ukojenie i spokój znajdował tylko w literaturze obcych...

„Czy naprawdę — myślał z trwogą — jesteśmy narodem marzycieli i czy nigdy nie zejdzie anioł, któryby poruszył betsedejską sadzawkę, obłożoną chorymi?"

*

Romantyzm polski? Prus odmienia to słowo na najrozmaitsze sposoby. Schylony nad „topielą", z przerażeniem odnajduje w zwodniczych odblaskach jej powierzchni własną twarz.

— Trzeba było poznawać kobiety nie przez okulary Mickiewiczów, Słowackich i Krasińskich! — woła z goryczą.

— Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia...

Oburza mnie to stanowisko Prusa. Chciał przekreślić to, co stanowi najpiękniejszą, najbardziej własną zdobycz jego narodu: romantyzm polski! Zaczyna on być uchwytny od tej chwili, gdy z mgławicy dziejów wyłania się własna twarz Polski. Prus chciał zniszczyć romantyzm w sobie i swoich współczesnych, zamiast zastanowić się nad tem, co jest przyczyną jego bezsilności i gdzie jest ukryta jego wada. Prus zaledwie przeczul, że nie romantyzm był przyczyną słabości jego narodu, lecz treść, charakter i kierunek tego romantyzmu. Miał on w sobie wszystko, aby stworzyć wielką poezję, lecz brakowało mu składników do wytworzenia własnego życia. Brakowało mu poczucia rzeczywistości i zamiłowania do prawdy.

Ze wszystkich narodów, które znam, Polacy są może narodem najbardziej kobiecym, zapatrzonym w siebie. Polacy zdają się nie bardzo znosić p r a w d ę, k o c h a ć s i ę w w y m y ś l e. I ta właśnie w nich cecha — brzmi to może nieco paradoksalnie — była jednym z powodów możliwości tak bujnego rozkwitu ich wspaniałej poezji.

Rosjanie na przeciwległym stoją biegunie. Dobrzy, czy źli — lecz faktem pozostaje, że potrafią być sobą, ż e s ą p r a w d z i w i. I to jest głównym powodem wielkości literatury powieściowej w Rosji. Brak zainteresowania do realnej prawdy życia pozbawia powieść polską jej własnego t o n u.

Powieść z natury swojej opiera się na życiu konkretnem. Trzeba tę prawdę wygryźć z niego zębami, wyrwać pazurami, lecz może to zrobić tylko ktoś, kto ją kocha. Rosjanie są mistrzami w zapuszczaniu się aż do wnętrzności istnienia. Chciwie wdychają w siebie krew, nie boją się jej zapachu. Przymrużone ukośne oczy wytrzymują bez mrugnięcia widok najsroższych otchłani, a nozdrza wdychaja chciwie palący oddech głębi. Nie przeszkadza to sercu szarpać się współczuciem i żalem. Muszą wszystko zobaczyć, wszystko zrozumieć, wszystko poznać, aby zaspokoić głód prawdy, znaleźć ukryty sens życia. Idą zawsze do końca, bez zastanowienia. Nietylko, gdy robią rewolucję...

Dostojewski jest i pozostanie jednym z najbardziej zdumiewających wyrazicieli ducha Rosji. „Okrutnym talentem" nazwał go jeden ze współczesnych. Wdarł się do najtajniejszych kryjówek duszy, aby zrozumieć tajemnicę jej budowy, aby dotknąć ukrytych sprężyn jej i praw. Zrobił drogę zaiste dantejską, straszliwą, lecz nie poto, aby strącić człowieka do piekła na wieczne potępienie. Dostojewski przy całej swojej rozterce i tragizmie ma więcej ożywczej wody w pogotowiu dla nieszczęśliwych, aniżeli pokrewny mu duchowo Żeromski, który zdaje się nie podejrzewać nawet, że to źródło „wody żywej" głęboko pod powierzchnią czeka na wyzwolenie.

Dostojewski wbrew utartej w Polsce opinji nie jest destrukcyjny. Tylko ci, którzy go nie rozumieją, lub nie umieją go czytać, mogą to mówić.

Dostojewski borykał się ze swoim losem wciąż nad krawędzią przepaści — to prawda, — lecz była to walka Jakóba z Aniołem i p r a w d z i w y anioł go naprzemian zwyciężał i podnosił. Żeromski jakgdyby nie przeczuwał nawet, że prawdziwi aniołowie istnieją.

*

M i s t y c z n y r e a l i z m powieści rosyjskiej jest powodem jej żywotności, jej wielkości. Powieści polskiej, i nawet poczęści francuskiej, brakuje w zupełności tego założenia. Realizm bez mistyki jest powierzchowny i nużący, ogranicza się do opisowości, do konstrukcji, do analiz psychologicznych, nie obejmujących bogatego zespołu pierwiastków duchowych, ich dynamiki rozwojowej.

Ten realizm stał się przyczyną wielkości teatru rosyjskiego. Teatr cudzoziemski nie budzi w Rosjaninie dreszczu, którego doznaje w teatrze ojczystym. Na Zachodzie ma przed sobą człowieka, który na scenie gra, u siebie kogoś, kto na scenie ż y j e. Realizm doprowadzony do doskonałości, ale który n i e j e s t c e l e m s a m y m w s o b i e.

I ten sam realizm w połączeniu z ideą znalazł swój wyraz w rosyjskiej rewolucji. Francuzi doby obecnej jeszcze tworzą nowe myśli, lecz rzadko kiedy je realizują. Są zanadto oswojeni, wygodni, nie lubią ryzyka. Rosjanie mają potrzebę doprowadzenia swoich myśli do końca, nie odstrasza ich „niemożliwe". Budują wbrew prawdopodobieństwu, wbrew logice, przeskakując często w tym rozpędzie poprzez własne swoje cele, zapędzają się za daleko. Lecz pozostają wiernymi sobie: wierzącymi, którzy chcą ucieleśnić swoją wiarę.

I to jest różnica pomiędzy romantyzmem polskim i rosyjskim. Rosyjski romantyk nie zatraca poczucia rzeczywistości. Z romantyków polskich jest nam najbliższy niewątpliwie Mickiewicz, najdalszy Słowacki, chociaż jako poeta sięgnął szczytów niezrównanych. Mickiewicz jest duchem najbardziej uniwersalnym, najmniej poetą wśród plejady wielkich romantyków, zbliżony raczej do typu apostoła, człowieka czynu. Mickiewicz wiedział, co trzeba kochać, a co nienawidzić. Czy można to zawsze powiedzieć o jego narodzie? Jest dumny ze swojej tolerancji religijnej, lecz czy tolerancja ta nie była raczej wynikiem obojętności dla spraw religji i wiary, zwykłem wygodnictwem ducha — *désintéressement?* Wojny religijne, które wypełniają po brzegi historję europejskich narodów, urągają coprawda najprostszemu zrozumieniu słowa Bożego — są jednakowoż dowodem, jak głęboki i jak realny czynnik stanowiły dla tych narodów sprawy ducha.

Polak, który ceni ponad wszystko indywidualną niezależność, mimoto nie zdobył jeszcze własnej twarzy — i w tem jest może główna usterka charakteru polskiego. Mężczyzna polski staje się k i m ś zmuszony do tego okolicznościami zewnętrznemi: żołnierzem, obrońcą ojczyzny, bohaterem. Tylko wobec wielkich katastrof i zdarzeń, wyjątkowych niebezpieczeństw wydobywa Polska ze siebie czyn, który naprawdę do niej należy, jest rozgrzany prawdziwą krwią.

Na Polsce jakgdyby się zemściło jej położenie geograficzne: połowiczność. Nie została całkowicie wciągnięta w gorący nurt dziejów kultury zachodniej, jej żarliwej cielesności, jej kultu widzialnego świata, a pozostała oddzielona od Wschodu, od jego mistyki religijnej, ścianą olbrzymiego państwa — Rosją. Polska pomiędzy niemi jest jakby zawieszona pomiędzy niebem a ziemią.

Bo wielkość kultury Zachodu to jest właśnie niewzruszonosc jej podstawy, jej znajomość przedmiotu, na którym opiera swój kult, jej rzetelny do niego stosunek: do ziemi i do człowieka. Shakespeare, Goethe, wielcy klasycy francuscy — są to kapłani w i d z i a l n o ś c i, nie ustępujący w niczem kapłanom starożytnego świata. Celebrują, gdy piszą, padają na kolana głęboko przejęci i wstrząśnięci pięknością i wymową ziemi i jej najcudowniejszego dzieła: człowieka. Na takiej tylko głębi mogła urodzić się prawdziwa nauka i potrzeba wiedzy. Na takiem tylko podłożu mogła powstać prawdziwa sztuka i filozofja. Nawet religję swoją przewartościował Zachód w duchu swojej wiary: katolicyzm, który oddał siebie całkowicie na usługi ziemi, przyjmując dobrowolnie jej nieuniknioną rozterkę i brud, bez obawy skalania swoich szat podczas ratunku zaginionych. Katolicyzm, który odziedziczył rozmach i zaborczą wojowniczość Rzymu. W tych walkach siebie wzmocnił i wychował. Miał coprawda i swoje klęski, lecz na przestrzeni wieków pozostał ż y w y, pulsowała w nim prawdziwa wiara i dlatego zapładniał życie.

Ten sam katolicyzm dotarł już do Polski jakby inny, pozbawiony rozmachu i tego fanatycznego żaru, który stanowił o jego potędze. W Polsce zachował tylko pozory swojej władzy, pozostał na powierzchni jej życia i historji. Nie przeorał jej do dna.

*

Tuż za Polską zaczynał się kraj, o którym trudno było powiedzieć, czy jest dalszym ciągiem Europy, czy raczej ostatniem wybrzeżem, na które przelała się fala rozległego oceanu kontynentu azjatyckiego, pozostawiając na nim, jako ił zapładniający, cząstkę tego ducha, który dał początek wielkim, wschodnim cywilizacjom.

Ze spokojem, prawie zupełnie nieruchomo, przeżuwając skarby swojej od wieków zdobytej wiedzy, patrzy Azja ze zdumieniem na szamocący się i krwawiący nieustannie Zachód, który zdobywa wiedzę n i e p o t r z e b n ą dla duszy, a równocześnie boi się śmierci, uważa ją za klęskę. Patrzy na Zachód, który postawił sobie człowieka za cel, za ostatnią metę, a przecież wciąż na nowo niszczy jego życie krwawemi rzeziami, zakuwa go w kajdany nietylko lochów i więzień, lecz i w kajdany przepisów i praw, nie dając mu nic wzamian odebranej swobody. Patrzy na ten Zachód, który przyjął dobrowolnie i radośnie nową religję miłości, lecz jej nie przetworzył w ciało. Kto wie, czy nie z tej przyczyny nie umiał tego zrobić, że źródła jej tkwią w wierze, która jest najczystszym kwiatem duszy wschodniej: wiary i miłości do rzeczywistości niewidzialnej, n i e d o t e j z i e m i.

Wschód nie bał się śmierci i dlatego kultura jego nacechowana jest spokojem. Jakże „prymitywni" muszą wydawać się mędrcowi wschodniemu najbardziej wyrobieni z pośród naszych „cywilizowanych": ci, którzy piszą piękne i pozornie przemyślane dzieła a wobec zagadnień życia są bezradni jak dzieci, na widok śmierci bledną i chwieją się ze strachu. Ze słusznością mógłby mędrzec wschodni zaskoczyć ich pytaniem: Poco straciliście tyle lat na naukę, z jakiej racji czynicie z niej bożyszcze, jeżeli nie dała wam najgłówniejszego: wiedzy o śmierci i życiu? Zarzucacie nam brak inicjatywy, bierność, zbytnie przywiązanie do przeszłości, niezdolność do rozwoju, lecz czy wasz r o z w ó j i tak zwana „dynamika" nie są ruchem w próżni, ruchem w kole, chociaż jesteście przekonani, że posuwacie się z szybkością tysięcy kilometrów na godzinę? Dla nas rozwój prawdziwy mieści się w obrębie duszy ludzkiej i tylko tam, nie poza sobą, odbywa ona największe swoje loty, te, które nie kończą się nieuniknionem rozbiciem. Takie właśnie straszliwe rozbicie przeżywa obecnie wasz świat i dotąd nie chcecie zdać sobie sprawy z prawdziwej przyczyny, która zaprowadziła was do przepaści. Jak pijani słaniacie się nad krawędzią, aby za chwilę runąć w dół.

Rosja słucha uważnie tego głosu i patrzy naokoło. Wie, że musi zdecydować się, wybrać drogę. Nie może szukać wskazówek we własnej przeszłości, bo nie miała dotąd własnej swojej historji. Wie i czuje jedno: że ma z c z e g o r o s n ą ć i że po brzegi przeładowana jest życiem. Stoi pomiędzy prądami, które wciąż na nowo napływają ku niej z Zachodu, wprowadzając w ruch jej wierzchołki, a mocnem rzeźwiącem powietrzem równin azjatyckich, w których zanurzone są jej korzenie i któremi żywi się jej ciało. Rosja, cała nachylona ku przyszłości, wypatruje znaków, wypatruje drogowskazów. Odmieniła swoją skórę, jak żmija w okresie lenienia się, i szuka nowej w ł a s n e j formy. Zerwała mocnem szarpnięciem z okresem dawnej rozterki, która stanowiła rdzeń jej szamotania pomiędzy dwoma równie mocnemi dopływami — zachodniemi i wschodniemi, i odważnie popłynęła na otwartą falę. Chce dźwignąć się z niemocy, s t a n ą ć n a s w o j e m m i e j s c u.

Sztuka we wszystkich postaciach—oto co Rosja miała dotąd najbardziej własnego, i tylko tam można usłyszeć niezamącony język jej jaźni. Myślę, że Rosja stanie się niedługo wyrazicielką zbliżającej się epoki, w której zmysł do konkretności, do rzeczy realnych, będzie połączony z niezachwianem przekonaniem i wiarą w istnienie rzeczywistości ponadziemskiej, bez której ta konkretność traci całe swoje znaczenie.

A Polska w tej walce o formę i treść jutra powinna stanąć razem z Rosją: Słowianie mają głos!

MARJA KASPROWICZOWA

NA MARGINESIE PROJEKTU UTWORZENIA IZBY MUZYCZNEJ

Sztuka muzyczna zajmuje niewątpliwie bardzo skromną pozycję w sumie kulturalnych potrzeb naszego społeczeństwa. „Konsumentem" muzyki są u nas właściwie tylko wybrane elementy miejskie — inteligencja i część mieszczaństwa, niska bowiem stopa życiowa chłopa i robotnika stoi na przeszkodzie szerzeniu się kultury muzycznej wśród najszerszych warstw. Lecz nawet te wybrane sfery nie stanowią pełnowartościowej muzycznie masy słuchaczy. Wiele przyczyn — eksterminacyjna polityka zaborców, brak ugruntowanych tradycyj muzycznych — złożyło się na niski poziom ich umuzykalnienia, stąd też „potrzeba" muzyki jest u nas bardzo mała, ruch zaś muzyczny nikły i niezorganizowany.

Miarodajne sfery muzyczne zdają sobie całkowicie sprawę z konieczności zmiany tego stanu rzeczy, jest jednak rzeczą jasną, iż proces, który ma podnieść poziom kultury muzycznej w Polsce, musi trwać dość długo, pierwszym bowiem jego etapem musi być kształcenie muzyczne młodzieży i stworzenie w nowem pokoleniu zainteresowania muzyką, co z natury rzeczy wymaga wielu lat wysiłków. Poza tą pracą, obliczoną na daleki dystans, konieczne jest jednak również rozwijanie kultury muzycznej w ośrodkach, gdzie istnieją już jej pierwsze podwaliny, konieczne jest uświadamianie społeczeństwa, że muzyka, w szczególności zaś muzyka poważna, nie jest luksusem czy też mało atrakcyjną rozrywką, lecz integralnym składnikiem ogólnych potrzeb duchowych każdego kulturalnego człowieka.

Niezbędnym warunkiem w ten sposób pojętego umuzykalnienia ogółu jest stworzenie odpowiedniego planu działania i ujęcie go w przemyślane ramy organizacyjne. Plan taki musi być oczywiście oparty o szerokie podstawy prawne i obejmować inicjatywę nietylko prywatną, lecz również społeczną i państwową. Inicjatywa poszczególnych jednostek, najdoskonalej nawet zorganizowana, nie dysponowałaby wystarczającemi środkami prawnemi i materjalnemi, nie mogłaby również objąć wszystkich warstw społecznych na terenie całego kraju.

Zagadnienie opieki państwa nad kulturą muzyczną istnieje nietylko w Polsce. W krajach, gdzie państwo wkroczyło do wszelkich dziedzin życia kulturalnego jako czynnik decydujący, szerzenie sztuki muzycznej zostało ujęte w zorganizowane ramy i oparte o cały szereg odpowiednich ustaw. Wymownym przykładem służą Sowiety, ostatnio zaś również i Niemcy, gdzie — mimo olbrzymich tradycyj muzycznych i niewątpliwie wysokiego poziomu umuzykalnienia najszerszych warstw — stworzono Izbę Kultury, obejmującą między innemi również Izbę Muzyczną, której celem jest kultywowanie muzyki i opieka nad wszelkiemi organizacjami muzycznemi.

Świadomość konieczności podniesienia poziomu kultury muzycznej oraz istnienie bliskich wzorów planowej ingerencji państwa w tej dziedzinie — oto źródła projektu utworzenia w Polsce Izby Muzycznej, mającej za zadanie organizowanie życia muzycznego i planową pracę nad umuzykalnieniem społeczeństwa.

Inicjatywę w tym kierunku podjął w r. 1933 Zarząd Związku Muzyków Rz. P., który też opracował pierwszy tekst projektu, traktującego Izbę jako instytucję, skupiającą w sobie wszystkie czynniki składowe kultury muzycznej, a więc: twórczość, odtwórczość i kształcenie muzyczne, zarówno ogólne jak zawodowe.

Na zarys ustroju Izby Muzycznej składa się pięć punktów zasadniczych: cel, zakres działania, środki działania, fundusze oraz sposób organizacji. Projekt przewiduje przymus prawny należenia do Izby wszystkich osób, trudniących się zawodowo muzyką. Władze naczelne Izby Muzycznej ukonstytuowałyby się częściowo w drodze wyborów (ordynacja wyborcza byłaby ustalona przez Ministerstwo W. R. i O. P.), częściowo zaś w drodze nominacji. Izba posiadałaby również charakter ciała doradczego, mając bowiem prawo inicjatywy w organizowaniu życia muzycznego, wydawałaby także opinję o samodzielnych zamierzeniach w tej dziedzinie czynników państwowych. Fundusze Izby stanowiłyby subsydja i darowizny, przedewszystkiem zaś składki członkowskie, traktowane jako należności publiczno-prawne.

Jak widać, Izba Muzyczna nie byłaby bynajmniej instytucją państwową, czynniki państwowe bowiem posiadałyby w dalszym ciągu całkowitą swobodę działania w zakresie kultury muzycznej i miałyby jedynie prawo, nie zaś obowiązek, zasięgania opinji Izby. Poza momentami prawnemi: przymusem należenia do Izby wszystkich muzyków zawodowych (analogicznie z ustrojem Izb Lekarskich czy Adwokackich) oraz możnością ściągania składek członkowskich drogą egzekucji, Izba Muzyczna stanowiłaby właściwie instytucję społeczną.

Należy niewątpliwie przyznać szereg zalet tak ujętemu projektowi organizacji i ustroju Izby Muzycznej: 1) Izba nie wymagałaby od państwa ponoszenia specjalnych i stałych ciężarów materjalnych; 2) pozostawiałaby swobodę inicjatywie prywatnej i społecznej, zapewniając jej zarazem należytą pomoc i opiekę; 3) czynności jej nie mogłyby ulec ewentualnemu zmechanizowaniu lub zbiurokratyzowaniu; 4) posiadając możność tworzenia i prowadzenia własnych ośrodków kształceniowych, przeznaczonych dla najszerszych mas, Izba nie wkraczała-

inv. 12442/3/19

by bynajmniej w zakres funkcji państwowych uczelni muzycznych, podlegających nadal Ministerstwu W. R. i O. P.

Wadą projektu jest istnienie możliwości, że środki i zakres działania Izby Muzycznej mogłyby się okazać niewystarczające w stosunku do olbrzymich potrzeb w tej dziedzinie. Należy jednak pamiętać, że potrzeby te mogłoby zaspokoić w całej pełni jedynie państwo, co wymagałoby uruchomienia wielkiego aparatu osobowego i stałego subwencjonowania wszelkich instytucyj muzycznych, w dzisiejszych zaś warunkach jest to rzeczą wręcz niemożliwą. Stworzenie Izby Muzycznej, stanowiące oczywisty krok naprzód w porównaniu z dzisiejszym stanem rzeczy, zwróciłoby niewątpliwie uwagę społeczeństwa na ten zaniedbany przezeń dotychczas odcinek życia kulturalnego.

Projekt utworzenia Izby Muzycznej nie wszedł jeszcze na tory realizacji. Zarząd Związku Muzyków Rz. P. po opracowaniu tekstu złożył całą sprawę latem 1934 r. w ręce miarodajnych czynników społecznych, które, chcąc znaleźć należyty oddźwięk w sferach zainteresowanych, rozesłały ankietę do wybitnych muzyków i najpoważniejszych uczelni muzycznych w całym kraju z prośbą o wypowiedzenie swych opinij. Był to krok bezwątpienia słuszny i celowy, wyniki ankiety umożliwią bowiem dalsze opracowanie projektu i poddanie go pod obrady szerokiego grona kompetentnych sfer muzycznych. Na drodze ustawodawczej znalazłby się w ten sposób projekt ostatecznie zredagowany, odpowiadający potrzebom chwili i będący wypadkową sądów wszystkich czynników miarodajnych.

Termin odpowiedzi na ankietę ustalono na 15 stycznia b. r. Szczegóły nadesłanych odpowiedzi nie są jeszcze opublikowane; przypuszczać należy, że projekt utworzenia Izby wywoła szereg uwag i zastrzeżeń, co godzi się jednak z celem ankiety. Instytucja szczególniej powołana do wydania sądu o projekcie — Państwowe Konserwatorjum Muzyczne w Warszawie — nie wypowiedziała się wyczerpująco w ustalonym terminie. Zdając sobie sprawę z wielkiej wagi przedłożonego projektu, utworzono specjalną komisję w łonie Rady Pedagogicznej, mającą na celu dokładne opracowanie projektu i sformułowanie odpowiednich zleceń i wskazówek. Należałoby życzyć, aby praca komisji posuwała się szybko naprzód, od jej ukończenia bowiem zależy ustalenie terminu obrad nad wynikiem ankiety.

Utworzenie Izby Muzycznej przyczyniłoby się niewątpliwie do podniesienia poziomu kultury muzycznej w Polsce. Od chwili realizacji projektu dzieli nas długi zapewne okres czasu, koniecznego dla dokładnego opracowania form ustrojowych przyszłej Izby — przyśpieszenie obecnych prac przygotowawczych jest niewątpliwym obowiązkiem wszystkich zainteresowanych czynników.

MARJAN NEUTEICH

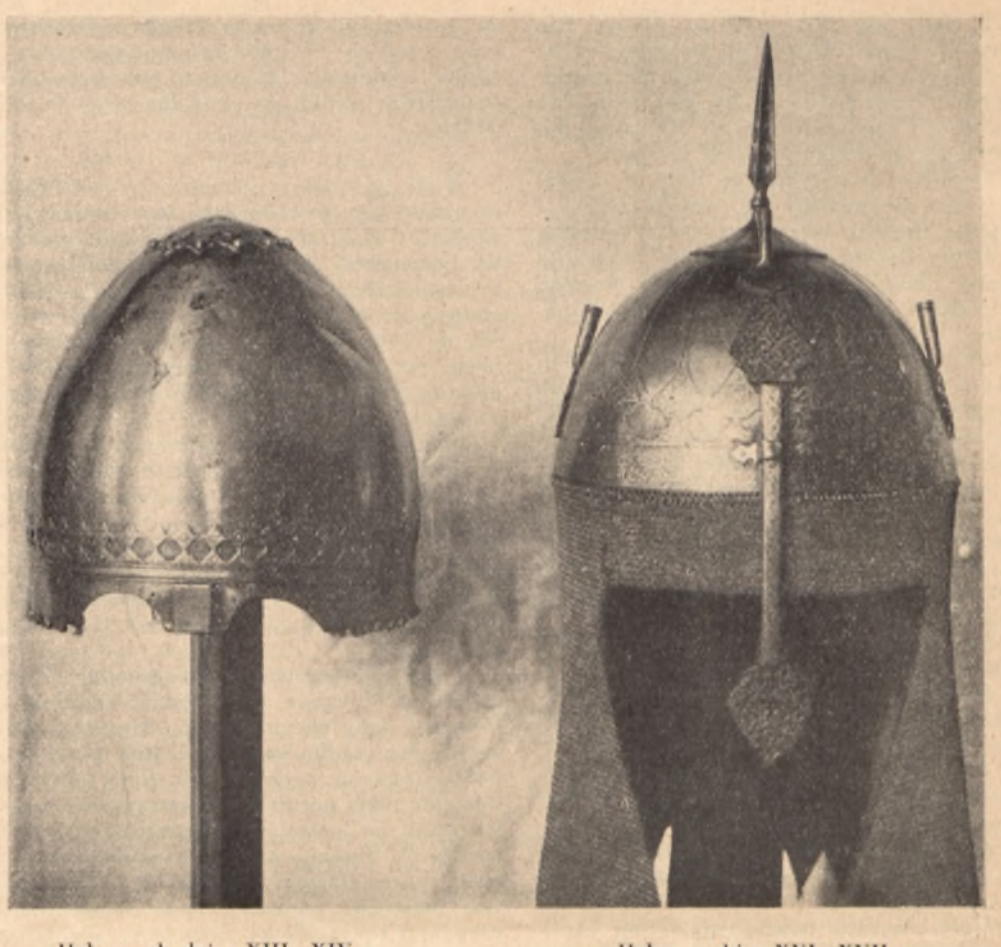

Hełm wschodni z XIII—XIV w. Hełm perski z XVI—XVII w.

WYSTAWA SZTUKI PERSKIEJ W „ZACHĘCIE"

Twórczość artystyczna Iranu znajduje się dzisiaj w centrum zainteresowania archeologów i historyków sztuki Bliskiego Wschodu. Wielka Międzynarodowa Wystawa Sztuki Perskiej w Londynie w r. 1931 zgromadziła z czterech części świata nieprzebrane skarby genjuszu artystycznego Iranu, jakich nigdy przedtem nie miano możności oglądać łącznie w takim wyborze i w takim zespole. Badania ostatniego pięciolecia w samej Persji dodały nowe bezcenne dokumenty sztuki Iranu, od najdawniejszych czasów począwszy. Nic więc dziwnego, że dopiero teraz poczynamy właściwie pojmować doniosłą rolę Iranu w dziejach artystycznych ludzkości, oceniać należycie wysiłki i dalsze obszary w okresach największego napięcia i r a n i z m u. Wspaniały obraz stanu obecnych wiadomości o sztuce Iranu, jej stanowisku światowem, jej najpiękniejszych zabytkach wszystkich epok przeszłości, roztoczy przed nami na podstawie najświeższych wyników nauki pomnikowe wydawnictwo czterotomowe *A Survey of Persian Art*, które niestrudzony dyrektor Instytutu Sztuki i Archeologji Perskiej w Nowym Jorku, prof. A. U. Pope, wyda wkrótce po kilkoletnich przygotowaniach.

Kobierzec jedwabny t. zw. „polski" z XVII wieku

Z zadowoleniem trzeba podkreślić, że w tych powszechnych usiłowaniach nad zgłębieniem dziejów artystycznych Iranu nauka polska przyjmuje również pewien udział, zdobywając w tej dziedzinie pozycje oryginalne. Na tle odwiecznych niemal stosunków handlowych i kulturalnych pomiędzy obu tak odległemi od siebie krajami — Iranem a Polską, w oparciu o wcale liczne zabytki sztuki perskiej w zbiorach prywatnych i publicznych Polski, zarysowują się te zagadnienia, ku którym z widocznem upodobaniem zwraca się ostatniemi czasy myśl naukowa polska. Niech mi wolno będzie tutaj wspomnieć o rzeczach najważniejszych i najistotniejszych, które najbardziej mogą zaciekawić szerszy ogół. Zajmując się najstarszemi kulturami Iranu, odnalazłem połowy II-go tys. przed nar. Chr. sięgające ślady związków Iranu z południowem pobrzeżem Bałtyku — znaczne ilości ozdób bursztynowych na Tepe Hiras koło Damganu w północno-wschodniej Persji. Bezporównania późniejsze są pierwsze wyroby perskie, ujawnione na ziemiach polskich — cztery srebrne naczynia sasanidzkie z V-go w. po nar. Chr., składające się na skarb z Choniakowa w pow. ostrogskim na Wołyniu, opisany przez ś. p. P. Bieńkowskiego. Ale i z czasów późniejszych, z początków epoki historycznej, nie brak w kraju naszym wykopalisk, świadczących o handlu pośrednim z dalekim Iranem. Są to skarby monet późnosasanidzkich, kufickich i innych, które, jak utrzymuje R. Jakimowicz, dotarły do nas za pośrednictwem Wikingów. Pojedyńcze znaleziska dowodzą nadto, że temu ruchowi handlowemu towarzyszyło przenikanie luźnych utworów przemysłu artystycznego Iranu do Polski. Obok tych pozostałości archeologicznych poczesne miejsce przypada przedmiotom sztuki perskiej z okresu ożywionych stosunków Rzeczypospolitej z Persją. Stwierdzamy je już w drugiej połowie XVI-go w., kiedy kraj ów importował bursztyn nadbałtycki na potrzeby przemysłu artystycznego i dekoracji wnętrz świątynnych i pałacowych. Niebawem od początku XVII-go w. rozpoczyna się coraz intensywniejszy napływ wyrobów perskich do Polski, wśród których najwięcej wszelakich tkanin i kobierców. Doborowa ich kolekcja, zestawiona z wielkiem staraniem i znawstwem przez E. Wierzbickiego, dzięki swym pierwszorzędnym naukowym i artystycznym walorom, spotkała się z prawdziwem uznaniem na wystawie londyńskiej. Wśród dywanów zasługuje na uwagę specjalna grupa zwanych polskiemi, gdyż z polskiem godłem państwowem pośrodku. Badania T. Mańkowskiego wyjaśniły, że były to wyroby perskie, przeważnie warsztatów w Kaszanie, wykonane na zamówienie Zygmunta III. Ale nietylko z tego widzimy, jak wielkiem wzięciem cieszyła się podówczas w Polsce perska produkcja tekstylna. W dalszym ciągu wykazał T. Mańkowski, że możnowładcy polscy sprowadzali do kraju tkaczy ze Wschodu, by w miejscowych warsztatach wyrabiać tkaniny i kobierce na wzór perski. Długo jeszcze utrzymuje się tradycja smaku perskiego w tkactwie polskiem, o czem świadczą wymownie wpływy perskie w pasach polskich XVIII-go w. W tym samym czasie rozpowszechniona była u nas broń perska, która, jak podnosi gen. Cz. Jarnuszkiewicz, okazała duży wpływ na kształtowanie się typu oręża polskiego. Wszystko to wskazuje, jakie znaczenie posiada zajęcie się rzeczami perskiemi dla zrozumienia niektórych zjawisk naszej przeszłości kulturalnej. Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju badania uczonych polskich znakomicie się przyczyniają do uwypuklenia charakteru ekspansji artystycznej Iranu ku rubieżom świata zachodniego.

W dążeniu do zinwentaryzowania i zyskania obrazu naszego stanu posiadania zabytki sztuki perskiej gromadzone już były nieraz na wystawach krajowych. Wystarczy wymienić wystawę *Wschód polski* w r. 1926 w Warszawie, wystawę *Wschód muzułmański* w r. 1928 we Lwowie, wreszcie wystawę kobierców i ceramiki w r. 1934 w Krakowie, z których dwie ostatnie wydały ilustrowane katalogi. Wszystkie te wystawy uwzględniały jednak zabytki perskie w gronie twórczości artystycznej innych krajów wschodnich. Wystawa *Sztuka Perska i jej wpływy*, otwarta dn. 27 kwietnia r. b. w „Zachęcie", jest tedy pierwszem usiłowaniem wyłącznego zaprezentowania naszemu wykształconemu ogółowi znajdujących się w Polsce okazów sztuki perskiej. Jest ona przez to samo pierwszą u nas wystawą sztuki orjentalnej, która stara się dać pewien całokształt naszych materjałów w odniesieniu do określonego środowiska kulturalno-artystycznego, jakim przez wszystkie epoki swej przeszłości był Iran. Z przyczyn od organizatorów niezależnych dążenia te nie dały się urzeczywistnić całkowicie, tak iż brak na wystawie niektórych cennych zabytków. Dzięki jednak tego rodzaju postawieniu sprawy, wystawa wskazuje, w zakresie, na jaki nas stać w kraju, na znaczenie sztuki perskiej i spełnia przez to rolę popularyzacyjną. Wyrazem tego jest również katalog wystawowy, poprzedzony trzema artykułami wstępnemi, z których dwa — St. Przeworskiego i E. Wierzbickiego — dają treściwą charakterystykę sztuki Iranu w starożytności i w dobie muzułmańskiej, gdy trzeci — pióra St. Brzezińskiego — mówi o drogach przenikania sztuki perskiej do Polski. Uzupełnienie stanowi piśmiennictwo, uwzględniające publikacje polskie, odnoszące się do Persji i jej sztuki.

Z eksponatów w „Zachęcie" zwracają przedewszystkiem uwagę te, które wystawione zostały po raz pierwszy. Najcenniejsze z nich reprodukowano w katalogu, który zyskał przez to wartość dokumentarną. Starożytnościom przypada tutaj bardzo skromne miejsce w udziale. Są to bronzy z Luristanu ze zbiorów gen. Cz. Jarnuszkiewicza i St. Meyera, nieliczne okazy tej wspaniałej, odkrytej zaledwie przed sześciu laty kultury przedhistorycznej zachodniego Iranu, które dotarły do Polski.

Doskonale prezentuje się kolekcja średniowiecznej i nowożytnej broni perskiej, wyczerpująco skatalogowana i gustownie rozmieszczona w dwóch długich fryzach przez rtm. dypl. Wł. Dziewanowskiego. Składają się na nią tarcze i hełmy, misiurki i karwasze, a przedewszystkiem liczne szable, sztylety, toporki i noże, o rękojeściach lub też pochwach artystycznej roboty. Zebrana z wielu muzeów i zbiorów prywatnych stanowi broń ta dział odrębny, jakiego dotąd nie uwzględniała żadna wystawa sztuki wschodniej w Polsce. Także dział kobierców i tkanin, mimo, że są to okazy sztuki perskiej, któremi interesują się u nas najwięcej, poszczycić się może takiemi, które oglądać można po raz pierwszy na wystawie. Wystarczy wymienić wspaniały kobierzec t. zw. polski z klasztoru O. O. Filipinów w Studzianie, dywany i makaty ze zbioru J. ks. Radziwiłła, kolekcję ornatów z materyj wschodnich, własność Kapituły Metropolitalnej Warszawskiej i Kapituły Łowickiej. Wyroby metalowe, ceramika, biżuterja i minjatury, lubo reprezentowane mniej licznie i doborowo, dają jednak pewne pojęcie o wielostronności artystów perskich. Wreszcie dział zgórą dwustu fotografij i reprodukcyj kolorowych zaznajamia z wieloma zabytkami światowego znaczenia, znajdującemi się w muzeach zagranicznych. Nie brak również i archiwaljów — dokumentów dyplomatycznych perskich z Archiwum Głównego Akt Dawnych, odnoszących się do stosunków polsko-perskich w dobie Wazów.

Wystawa, zorganizowana przez „Zachętę" i Tow. Polsko-Irańskie, służy w ten sposób krzewieniu znajomości perszczyzny w naszem społeczeństwie i stanowi dalszą pozycję w naukowem opracowaniu rzeczy perskich w Polsce. Należy ufać, że z biegiem czasu nauka polska nie ograniczy się do zagadnień, związanych z naszą przeszłością lub zbiorami aktualnemi, lecz pogłębi i rozszerzy pole swych badań, wkraczając aktywnie na teren samej Persji. Uczony polski znajdzie w tym pięknym kraju gościnne przyjęcie i życzliwe poparcie władz państwowych, bogate materjały naukowe i wielkie możliwości badawcze. Będzie to nawiązaniem do chlubnej tradycji tych czasów, z których długi poczet podróżników polskich — przeważnie misjonarzy katolickich — przekazał nam swe sprawozdania, niejednokrotnie niepozbawione pierwszorzędnego znaczenia dla poznania epoki, jak dzieła ks. J. T. Krusińskiego z początku XVIII-go w. One to świadczą, co podkreślił w swej monografji St. Brzeziński, jak żywe było zawsze w Polsce zainteresowanie sprawami perskiemi.

STEFAN PRZEWORSKI

Kobierzec Hamadan z XVII w.

czas. 12442/3/21

RZECZPOSPOLITA POETÓW— NAGRODZONA

Tegoroczną nagrodę Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie otrzymał Ludwik Hieronim Morstin za *Rzeczpospolitą poetów*, której prapremjera odbyła się w Krakowie w maju roku ub.

Statut Związku Zawodowego Literatów Polskich w Krakowie mówi, że każdoroczną nagrodę ma otrzymać dzieło, „które wyróżnia się przez swą artystyczną wartość, oryginalność i ważność poruszonych zagadnień". Jeżeli pod tym kątem spojrzymy na ostatnie dzieło Morstina, przyznać musimy, że nagrodzone zostało słusznie.

O ważności poruszonych w niem zagadnień świadczy chociażby ożywiona dyskusja prasowa, jaka się w Krakowie po premjerze wywiązała, ilość zachwytów a także niechęci, jakie ta dyskusja ujawniła.

Rzeczpospolita poetów, jak wszystkie dzieła naprawdę artystyczne, nie stawia konkretnych tez, nie daje pouczeń ani programów; porusza tylko zagadnienia wielkie i doniosłe, porusza przedewszystkiem dusze i umysły, każąc im te zagadnienia sobie stawiać. Na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie, od wieków roztrząsane, a nigdy nie rozstrzygnięte, zagadnienie jak świat stare a wiecznie młode, zagadnienie stosunku marzenia do rzeczywistości, ideału do życiowych możliwości. Ponieważ problem ten wciela się w sztuce Morstina w akcji, toczącej się pozornie dookoła polityki, dookoła kwestji władzy i rządu, ponieważ sztuka przedstawia marzenia poetów o idealnem państwie, a potem katastrofę tych szlachetnych utopij, w czyn wprowadzonych — wielu ludzi uznało tę sztukę za sztukę „polityczną". Jedni dopatrywali się w niej krytyki rządów obecnych, inni ich apoteozy. Oczywiście ani jedni ani drudzy racji nie mieli. Nie temi kategorjami sztukę Morstina mierzyć i sądzić należy. W *Rzeczypospolitej* jest on tylko i wyłącznie poetą; politykiem jest w tej mierze, w jakiej poetami są ci wszyscy, którzy u steru rządu marzą ciągle i czynnie o poprawie istniejących stosunków. Poeta-legjonista marzeniem poetyckiem, poetycką wizją, kierownicy państwa każdym wykwitającym z pod ich pióra paragrafem robią to samo; marzą o osiągnięciu ideału, o zbudowaniu państwa doskonałego; ciągle jedni i drudzy przekreślają coś z rzeczywistości istniejącej na korzyść rzeczywistości wymarzonej i upragnionej. Dlatego polityczna dyskusja, rozpętana dookoła *Rzeczypospolitej*, była niesłuszna i dla dzieła sztuki krzywdząca. Bo jeśli mówiłem, że Morstin w *Rzeczypospolitej* był tylko poetą, wyraziłem się nieściśle: był on tu przedewszystkiem człowiekiem teatru.

Na określenie człowieka, piszącego dla teatru, niema specjalnego i trafnego słowa, takiego jak: liryk, powieściopisarz i t. p., które służą dla określenia innych rodzajów literackiej twórczości. Terminy „dramaturg", „komedjopisarz" mają trochę inne zabarwienie i znaczenie. Na określenie Wyspiańskiego jako pisarza scenicznego, na określenie Morstina, jako autora *Rzeczypospolitej* powinienby istnieć specjalny wyraz, w rodzaju „teatrolog" czy „scenolog", gdyby te właśnie wyrazy nie oznaczały raczej pracy naukowej i krytycznej niż twórczej.

Bo *Rzeczpospolita poetów* należy do tej samej rodziny co sceniczne utwory Wyspiańskiego, — nie dlatego, żeby była pod ich wpływem lub im podobna, ale dlatego, że jak i one rumieńców życia, barwy, blasku i znaczenia nabiera dopiero na scenie.

Eksperci teatralni, czytając sztukę, oceniają ją zawsze pod kątem jej „sceniczności", ale ta sceniczność, ujawniona w czytaniu, nie zawsze pokrywa się ze scenicznością rzeczywistą; i często właśnie sztuki najbardziej sceniczne nie wydają się takiemi w czytaniu. Do nich właśnie należy *Rzeczpospolita poetów*. Czytelnik, uznając piękno jej wiersza, jej wysokie walory poetyczne, myśli w głębi duszy, że jest to sztuka do czytania, sztuka niesceniczna. Tymczasem jest odwrotnie. *Rzeczpospolita poetów*, w czytaniu piękna, na scenie staje się rewelacją. Zaczyna grać i mienić się tonami i blaskami, pulsować życiem, którego nie można było dopatrzyć się pod czarną szminką drukarskich czcionek. Na scenie wyzwalają się z niej piękności, niewidzialne w płaskiej wymiarowości tomiku. Pod stopami Turlewa i Gałdyna teatr objawia nagle swe tajemnicze oblicze, wyzwala z siebie swój mistyczny i zakonspirowany genjusz. Staje się tem, czem być powinien, a tak rzadko bywa: upojeniem, złudą rzeczywistą, trampoliną, wyrzucającą widza w nieistniejącą a prawdziwą rzeczywistość. To wszystko, co racjonalnie nastawionego czytelnika razi, co „budzi w nim zastrzeżenia", nagle na deskach teatru nabiera sensu i prawdy. Na tych deskach podają sobie zgodnie ręce prawda i utopja, rzeczywistość i fantazja, kruszy się głupi rozsądek dnia powszedniego, życie dopełnia się blaskiem poezji i mitu, poezja i fikcja

Ludwik Hieronim Morstin

pęcznieją krwią życia. Turlew i Chimera, wojewoda i Melpomena nagle znajdują się na tej samej płaszczyźnie, mówią tym samym językiem, językiem jednej, wielkiej prawdy sztuki. To wszystko, co wyrywa się krzykiem bólu z roztęsknionej ludzkiej duszy, to, co w nią wchodzi z bogactwa otaczającego życia, to wszystko, co wychodzi z życia, aby tworzyć sztukę, co w życie zstępuje ze sztuki, aby je opromienić i umożliwić — splata się i łączy w sztuce Morstina w jedną, wielką, zwartą całość. A te wszystkie i w życiu i nawet w książce nieskoordynowane pozornie motywy, ta ogromna „wielość rzeczywistości" nabiera dopiero na scenie jednolitości i głębokiego sensu — sensu wielkiej sztuki. I rzadko komu udało się tak jak Morstinowi w *Rzeczypospolitej poetów* wyłamać się z kategoryj myślenia praktycznego, z kategoryj myślenia literackiego, a żyć i tworzyć tylko kategorjami wyczucia i pojmowania scenicznego. Między *Rzecząpospolitą* czytaną a oglądaną na scenie jest taka sama różnica, jak między miłością czytaną a przeżywaną. Kto *Rzeczypospolitej* nie widział na scenie, nie może sobie zdać sprawy z tej soczystości, bujności i bogactwa jej życia teatralnego, jej teatralnej funkcji.

Związek Zawodowy Literatów Polskich w Krakowie walory te wyczuł i zrozumiał, i dlatego z uznaniem podnieść trzeba, że właśnie ten utwór wśród wielu innych wartościowych dzieł pisarzy krakowskich nagrodził, podnieść to trzeba tembardziej, że nagrodził go wbrew niezrozumiałej niechęci, jaka się wytworzyła koło dzieła Morstina, wśród niechęci, jaka się objawia zwłaszcza w sferach teatralnych. Nawet po przyznaniu autorowi nagrody nie wznowiono *Rzeczypospolitej poetów* na scenie krakowskiej, co jest tem dziwniejsze, że ostatnie jej przedstawienie po brzegi wypełniło widownię. Ale to są już sprawy naprawdę „zakulisowe", które nie należą do omawiania nagrodzonego dzieła.

ROMAN KORDĘSKI

ODEZWA

KOMITETU LIGI DROGOWEJ PROPAGANDY POŻYCZKI INWESTYCYJNEJ

Stan dróg w Polsce wymaga radykalnych środków zaradczych, znacznych wysiłków pracy i świadczeń finansowych. Nie wystarcza tylko łatać dziury na drogach, trzeba im dać twardą, nowoczesną i trwałą nawierzchnię, któraby wytrzymała wzmożony ruch koni i samochodów. Stan naszych dróg nie odpowiada ani wymaganiom nowoczesnego życia, ani mocarstwowemu stanowisku Polski. W imię bezpieczeństwa naszych granic i dla podniesienia dobrobytu Państwa i jednostek musi być przełamany kryzys naszych dróg.

Pożyczka Inwestycyjna, dostarczająca gospodarce drogowej wydatnego poparcia, umożliwi wielkie dzieło odbudowy dróg, umożliwi rozwój motoryzacji, zatrudni bezrobotnych i ożywi życie gospodarcze kraju. Liga Drogowa, której celem jest odbudowa polskiej sieci drogowej, a zadaniem pobudzenie i skupienie wszelkich wysiłków, umożliwiających racjonalne zrealizowanie tego wielkiego dzieła, wzywa wszystkich do czynnego poparcia Pożyczki Inwestycyjnej.

Kto dba o potęgę i bezpieczeństwo Polski i jej rozwój gospodarczy, kto rozumie, że bez dobrych dróg rolnictwo wegetuje, a przemysł i handel nie mają zbytu, kto klęskę bezrobocia przełamać chce wzmożoną pracą, TEN POMOŻE ODBUDOWIE DRÓG, NABYWAJĄC POŻYCZKĘ INWESTYCYJNĄ.

KONGRES KULTURY LITEWSKIEJ

W dn. 3—6 marca r. b. odbył się w Kownie w murach Uniwersytetu Witolda Wielkiego pierwszy Kongres Kultury Litewskiej, zwołany przez Stowarzyszenie Przyjaciół wychodzącego od r. 1931 tygodnika p. t. *Naujoji Romuva*. Myśl przewodnią kongresu wypowiedział w przemówieniu wstępnem Juozas Kelinotis, redaktor pisma i prezes wymienionego stowarzyszenia:

„...niezwykle wielka rola kultury, nam, Litwinom, dodaje szczególnej otuchy. My już nie stworzymy ani politycznego ani militarnego imperjum. Nie zaimponujemy swoją siłą fizyczną. Ale nikt nie może nam zabronić rozwijania w nieskończoność twórczości kulturalnej. Dzięki niej możemy się utrzymać, wyrosnąć ponad innych i zabłysnąć całym ogromem swego genjuszu. Twórczość kulturalna to naczelne zadanie narodu litewskiego".

(Słowa te są bardzo znamienne: Litwa współczesna i w tym punkcie jest antytezą Litwy Witoldów).

W szeregu prelekcyj, wygłoszonych w toku kongresu przez specjalistów danych dziedzin, zobrazowany został obecny stan kultury litewskiej, rzucono wiele wskazań, pomysłów i projektów, tu i owdzie poruszono tradycje dawniejsze. Kongres nie miał charakteru rozmów pomiędzy fachowcami, tonących w świecie przeszłości lub w świecie idei, rozpatrywanych samych w sobie, wręcz przeciwnie, starano się o jaknajpełniejszy oddźwięk w społeczeństwie a wszystkie sprawy potraktowano w sposób jaknajbardziej aktualny.

Prelekcja J. Kelinotisa traktowała o psychologicznych podstawach cywilizacji, jej fazach oraz załamaniu się w ostatnich czasach. Prelekcja rzutowała program pracy kulturalnej litewskiej na szerokie tło wszechludzkie, jakkolwiek *expressis verbis* autor takiej intencji nie wypowiedział.

W krótkich słowach przedstawię zasadnicze myśli prelegenta. Cztery są warunki twórczości cywilizacyjnej, dzięki której słaby fizycznie człowiek zdobył panowanie nad światem. Są to jego właściwości psychiczne: poczucie własnej, odrębnej osobowości, teoretyczny, praktyczny oraz intuicyjny rozum, wolna wola i nakoniec instynkt społeczny.

W czasach przedhistorycznych panuje *homo faber*, walczący z przyrodą, wynalazca narzędzi i mniej złożonych sposobów fabrykacji. Czasy historyczne przynoszą nowy typ człowieka, a mianowicie *hominem sapientem*. Jego tworem jest czysta sztuka, nauka i filozofja. Typ trzeci i ostatni, choć nie ostateczny, ukształtował się pod wpływem chrystjanizmu — jest to *homo spiritualis*. Wszystkie te typy współistnieją w czasach obecnych.

Załamanie się cywilizacji współczesnej ma kilka źródeł, wszystkie one dają się jednak ująć pod wspólny mianownik klęski osobowości ludzkiej. Człowiek stał się niewolnikiem swego tworu, maszyny. Maszyna narzuciła mu swoją, złą cywilizację. Zajęła miejsce centralne, jemu, swemu twórcy, łaskawie pozwalając być dodatkiem. — Z wykrytą przez się wielkością i niesłychaną złożonością świata, człowiek zestawił własną swą słabość, bezradność wobec śmierci i popadł w głębokie przygnębienie — stworzył państwo, a ono chce być wszystkiem, celem samo w sobie. Wszystkie te anormalności rodzą kryzys religijno-moralny. Rzeczy straciły sens i miarę.

Jest rzeczą oczywistą, że uwagi prelegenta o zdeterminowaniu cywilizacji przez produkcję maszynową nie mogą tyczyć państwa litewskiego, gdzie przemysł jest nikły. Idąc za biegiem swego rozumowania, prelegent mógłby, zupełnie logicznie, postawić optymistyczne horoskopy dla najbliższej przyszłości Litwy.

Umieszczenie w ramach kongresu prelekcji dr. J. Puzinasa, doc. uniw., o „Kulturze mieszkańców Litwy w okresie polodowcowym" da się uzasadnić, podobnie jak prelekcja poprzednia, chęcią uzyskania szerokiej perspektywy dziejowej dla współczesnych wysiłków Litwy. Chodziło tutaj jednak również o inne rzeczy—porównajmy słowa prelegenta:

„A w tych czasach, kiedy dąży się do wypielęgnowania w społeczeństwie miłości ojczyzny, powinnniśmy swój kraj poznać jaknajwszechstronniej". Z prelekcji wyciągnę wiadomość, że człowiek na ziemiach Litwy osiedlił się prawdopodobnie w samym końcu paleolitu t. j. mniejwięcej na dziesięć tysięcy lat przed Chrystusem. Pewne ślady pobytu człowieka na tym terenie datują z okresu mezolitycznego.

„Problemy historji litewskiej" poruszył doc. uniw., dr. Z. Ivinskis. Historja Litwy poprzez szereg prac przygotowawczych ma dojść do sformułowania ogólnych zasad, ogólnych ujęć dziejów Litwy. Później rezultaty badań mają być udostępnione społeczeństwu i przystosowane do warunków życia współczesnego. Popularyzacja historji motywuje się tem, że siły, które działały w przeszłości, oraz problemy, bardzo często powtarzają się w innych czasach, ponadto zaś poznanie historji określa indywidualną fizjonomję narodu oraz może dać impulsy życiu. Jakież są ważniejsze problemy historji Litwy?

Przedewszystkiem kwestja sensowności politycznej ekspansji litewskiej na ziemie ruskie, datującej jeszcze od Mendoga. Ekspansja ta kosztowała Litwę dużo ludzi i to najzdolniejszych, — utrata ich była tem dotkliwsza, że kraj był słabo zaludniony. „Ciągnięcie w bezgraniczne obszary Rusi była to polityka nierealna, marzenie, a nie prawdziwe zrozumienie interesów przez obliczającego polityka". Jedyne usprawiedliwienie wypływa z faktu, że Litwa była zmuszona czerpać skądś siły do walki z Zakonem, czerpała je więc z Rusi. Osąd ekspansji rodzi krytyczne nastawienie wobec wielkich książąt, m. in. także wobec w. k. Witolda, pasowanego na największego bohatera narodowego. Przyjęcie chrztu i to właśnie z rąk Polski było dla Litwy koniecznością nieuniknioną. Nie można było pozostać wtyle za całą Europą, zwłaszcza, że pociągało to za sobą cały szereg trudności politycznych. Wewnątrz groziło zruszczenie. Przyczyną polonizacji Litwy, której dzieje i charakter stanowią osobny, ważny problem, było „zapóźnienie w kulturze oraz niestworzenie własnej kultury narodowej". Problem unji: próbuje się obecnie patrzeć na nią jako na akt o charakterze międzynarodowym. Nie wymieniając innych zagadnień, dobrze wspomnieć, że coraz częściej podnoszą się w Litwie głosy za rewizją poglądów na Jagiełłę (popularnie uważanego tutaj za mordercę i zdrajcę, przeciwstawienie wyidealizowanej postaci Witolda).

Niewyjaśniona jest jeszcze kwestja t. zw. praojczyzny Litwinów. Wymieniając autochtonistyczną teorję Bezzenbergera oraz nieautochtonistyczną — Bugi (praojczyzna na terenach dzisiejszej Białorusi), prelegent pominął jednak całkowitem milczeniem uzupełniające Bugę badania doc. uniw. Witolda W., A. Salysa, który ustalił, że w XII w. zach. Żmudź zamieszkiwali językowo spokrewnieni z Litwinami Kurowie, że północne ziemie Litwy należały do również spokrewnionych Selów i Zemgalów (nb. Suwalszczyznę zaczęli Litwini kolonizować dopiero w XV w.!) [1]

Aby dostatecznie ocenić objektywizm prelegenta, należy pamiętać, że w szerszych warstwach społeczeństwa prosperuje „historja stosowana". Naród litewski odradzał się, wpatrzony w wizję wielkiej przeszłości, usnutą w znacznej części z legend, syconą uczuciem patrjotycznem, a więc zawierającą sporą dozę subjektywizmu, Historja, zastrzyknięta w społeczeństwo w czasach odrodzenia, zapuściła głębokie korzenie w Litwinach. Po powstaniu państwa i przyśpieszeniu procesu krystalizowania się narodu, legendę jako już zbędną można było poddać gruntownej rewizji. Jako jeden z poważniejszych głosów o rewizję należy przytoczyć artykuł prof. Mykolaitisa-Putinasa w historyczno-literackiem wydawnictwie uniwersytetu W. W. *Prace i dni* (1934). Prelekcja doc. Ivinskisa proklamuje — aczkolwiek nie jest to w tych słowach powiedziane — powrót historji do uniwersytetu.

Dla uzupełnienia prelekcji o „Problemach historji Litwy" *Naujoji Romuva* umieściła artykuł doc. dr. Szapoki (Szapoka) p. t. „Zdolności państwowe Litwinów w perspektywie historji". I tu jasno i wyraźnie ujawniają się tendencje rewizyjne. Ten sam Witold, który tak dzielnie i zręcznie kierował państwem w trudnym przełomowym okresie, „dla zachowania narodu nie zrobił nic". Oczywiście rewizja bodajże w całości tyczy się historji popularnej, którą, ze względu na jej wagę w odrodzeniu narodu litewskiego, pozwoliłem sobie nazwać „historją stosowaną".

[1] Na marginesie należy zauważyć, że społeczeństwo litewskie przywiązuje wielką, może nawet nadmierną wagę do kwestji autochtonizmu. Podam niżej cytatę z dawniejszego artykułu, która, jeżeli jest słuszna, doskonale zilustruje uczuciową wagę autochtonizmu w Litwie:

„Na wielką część naszej inteligencji wywarła wpływ niczem nie umotywowana hipoteza stworzona nie przez kogo innego jak tylko przez naszego językoznawcę Bugę, jakobyśmy my, Litwini, niezbyt dawno przybyli do swej teraźniejszej ojczyzny a dawniej mieszkali tu Kurowie, Zemgalowie i Selowie, mający być dzisiaj wymarłemi „narodami". Według tej hipotezy najdawniejsze zabytki kultury miałyby być spuścizną po owych „narodach", nawet po jakichś „finnach", ale nie po naszych praojcach, nie po Litwinach. Zrozumiałe, że pod wpływem takiej hipotezy, która przedostała się nawet do podręczników szkół powszechnych, zniknęło poszanowanie i topniała miłość starożytnych zabytków kultury. Któż-bo z Litwinów będzie otaczał czcią twory kultury jakichś obcych narodów?" (*Vairas*, 8—9, 1934, str. 162).

nras. 12442/3/19

Wróćmy do obrad kongresu. V. Mykolaitis-Putinas, prof. uniw., wybitny prozaik i liryk, uskarża się na obojętność społeczeństwa i brak zorganizowanej pomocy dla literatury. Jakkolwiek bowiem państwo przeznaczało sporo pieniędzy na sztukę, to jednak literatura niewielki z tego miała pożytek, bo lwia część przypadała w udziale teatrowi. W r. b. walne zebranie Związku Pisarzy uznało za konieczne założenie sieci bibljotek wiejskich oraz specjalnej instytucji wydawniczej, utrzymywanej przez rząd i społeczeństwo, mającej za zadanie wydawanie utworów pisarzy litewskich oraz tłumaczeń utworów o światowem znaczeniu. Powtórzmy za prelegentem, że najlepszy zbiorek poezyj rozchodzi się w 200 — 300 egz., że oprócz podręczników żadna inna książka nie doczekała się w Litwie drugiego wydania. Temi słowy opisuje prelegent stosunek przeciętnego Litwina do książki:

„....szafa z książkami... jest meblem, Litwinowi nieznanym. Póki nasz przyszły inteligent siedzi jeszcze na ławie szkolnej, póty czyta książki, a czasem nawet sam kupuje, ale gdy po ukończeniu nauki osiądzie na jakiejś ciepłej posadce, zwłaszcza w swojej własnej chatynce, o książce i kulturze najczęściej zapomina. Porósłszy w pierze, kupuje sobie przedewszystkiem lepszy kredens, potem zwyczajne kieliszki zamienia na kryształowe, potem kupi sobie srebrne łyżki i t. d.“

Rozpatrzywszy w zarysie dzieje rozwoju literatury litewskiej aż do czasów dzisiejszych, prelegent stwierdził, że ostatnio kilku przynajmniej dziełami osiągnęła ona poziom europejski. Jakież zadania stawia przed literaturą litewską chwila obecna? „Rozwijać poczucie narodowe, budzić Litwinów, aby byli sobie-ludźmi“. „Już teraz nadszedł czas, aby z pióra znowu uczynić broń, zwróconą przeciw wrogowi narodu litewskiego“ (szczególnie przeciw Niemcom). „Potrzeba nam dzieł, w których mielibyśmy odtworzone nasze życie, przyrodę naszego kraju“. Literatura ma dać bohaterów o wyraźnej indywidualności. „Oni uwydatnią charakter Litwina, wokół nich skupią się myśli czytelników, około nich będzie się krystalizować ideologja, staną się niemi, łączącemi cały naród“.

Szeroko rozwodząc się o społeczno-narodowych zadaniach literatury, prelegent mniej uwagi poświęcił konieczności udoskonalenia strony formalnej i ideowej utworów. Przez całą prelekcję czerwoną nicią przesuwa się myśl, że literatura musi być podporządkowana sprawom narodowym i politycznym, ma przyśpieszać proces krystalizowania się poczucia narodowego i t. d. Może takie w zasadzie słuszne postawienie kwestji można przynajmniej częściowo uważać za posunięcie taktyczne wobec opinji społecznej.

O „kolejach teatru litewskiego“ mówił F. Kirsza. Przed wojną w procesie budzenia się świadomości narodowej litewskiej poważną rolę odegrały teatrzyki amatorskie. Powstały po wojnie teatr kowieński, otrzymujący sute subsydja od państwa, pozostawał pod przemożonym wpływem i ulegał urokowi teatru rosyjskiego, co nie pozwoliło rozwinąć się oryginalnym cechom narodowym. Ten stan rzeczy budził słuszne niezadowolenie. *Naujoji Romuva* wystąpiła do walki, w wyniku czego dokonano pewnych zmian personalnych w kierownictwie teatru.

O „drogach sztuki litewskiej“ mówił dyrektor państwowej Galerji Cziurlionisa, P. Galaune. Za datę narodzin sztuki litewskiej można uważać rok 1906, kiedy to odbyła się pierwsza wystawa sztuki. Wystawa trafiła na grunt nieprzygotowany, brak bowiem było fachowej, wykwalifikowanej krytyki oraz artystycznie wyrobionej publiczności. Dlategoto pierwsze publiczne wystąpienie artystów pojęto w Litwie jako akt manifestacji narodowej. Do r. 1914 odbyło się jeszcze kilka wystaw, pośród nich pośmiertna wystawa dzieł M. K. Cziurlionisa. Naczelną gałęzią sztuki było w owych czasach malarstwo, rzeźbie (nb. tylko salonowej) oddawała sie jedynie szczupła garstka artystów. O rzeźbie monumentalnej i o architekturze nie pozwalały myśleć ówczesne polityczno-społeczne warunki życia w Litwie. Po wojnie światowej rozpoczął sie nowy okres sztuki, zainicjowany w r. 1920 wystawą w Kownie, na którą złożyły się dzieła przedwojenne oraz powstałe w czasie wojny i w pierwszych latach niepodległości. Odtąd datuje się rola państwa, jako czynnika wspierającego sztukę. W r. 1923 założono Szkolę Sztuk Pięknych, co jednak pociągnęło za sobą „zurzędniczenie“ artystów, którzy tam skupili się prawie wszyscy. Przy słabym popycie na dzieła sztuki jedynym nabywcą jest Galerja Cziurlionisa, tej jednak państwo, zaabsorbowane organizowaniem życia gospodarczego, nie udzielało dostatecznych kredytów. W końcu r. 1932 z wystawą wystąpiła grupa *Ars*, skupiająca artystów młodego pokolenia, kusząca się o danie oryginalnej narodowej sztuki, nie krępująca swych członków zgóry ustalonemi dogmatami artystycznemi. Prelegent sądzi, że dla poparcia sztuki należy otworzyć jej działy przy muzeach oraz udzielić im środków na nabywanie dzieł. Ponadto należy zbudować w Kownie specjalne pomieszczenie na wystawy.

Muzyka w Litwie ma głębokie tradycje ludowe i mocne oparcie w naturalnych skłonnościach i zdolnościach Litwinów. Vl. Jakubenas, rozpatrując „perspektywy rozwoju muzyki litewskiej“, uważa, że zainteresowanie się tym działem sztuki jest w społeczeństwie litewskiem niedostateczne. Jak i poprzedni prelegenci, domaga się również pomocy państwa. Wobec muzyki modernistycznej, rozpowszechnionej w Europie, Litwini powinni być bardzo ostrożni. Jeśli chcą zdobyć sobie miejsce w dziejach muzyki, powinni starać się o oryginalność, Litwa bowiem jest państwem „prowincjonalnem“. „Nasza prowincjonalność jest naszą słabością, ale może być naszą siłą. Jesteśmy i powinniśmy być narodem *egzotycznym*“.

Dr. A. Juszka w prelekcji o „organizacji życia kulturalnego“ m. in. wysuwa projekt założenia Instytutu Lituanistycznego (nb. dziś już przyjęty przez senat uniwersytecki), którego zadaniem byłoby przeprowadzenie badań nad kulturą Litwy. Plastycy na wzór pisarzy powinniby utworzyć silną i zwartą organizację, co zaś do kierunku ich pracy, dobrzeby było, żeby wzięli pod uwagę sztukę stosowaną, jako łatwiej docierającą do szerokich warstw społeczeństwa. W trosce o kulturę mas państwo powinno — obok przymusowej szkoły powszechnej — wprowadzić przymusowe uczęszczanie do teatru, na koncerty, odczyty i wystawy. Motywując to, prelegent powołuje się na kościół katolicki, który żąda od swoich wiernych, aby wykonywali przynajmniej minimum praktyk religijnych.

Prelekcje prof. Pakształa o cywilizacji litewskiej oraz ks. prof. Czesnysa o wzajemnym stosunku kultury do religji dotąd nie ukazały się w druku.

Jak z szeroko roztoczonego tu obrazu idei i projektów, dotyczących kultury litewskiej, wynika, dążeniem grupy, skupionej około tygodnika *Naujoji Romuva*, a składającej się z żywiołów umiarkowanych, jest zetatyzowanie (w sensie organizacyjnym) produkcji i konsumcji kultury. Jakkolwiek ten fakt sam przez się nie charakteryzuje rodzaju samej kultury, to jednak nie da się zaprzeczyć, że jego paralelą jest nieautonomiczne pojęcie kultury, podporządkowanie jej narodowi, ściślej mówiąc procesowi formacji, krystalizacji narodowej. Przekazanie opieki nad kulturą państwu, którego zadaniem bezpośredniem jest ochrona bytu narodu, skupienie w jego ręku dwóch funkcyj, ma odpowiednik w nieautonomicznym charakterze kultury.

O posłannictwie wobec ludzkości na kongresie nie mówiono wcale, nie dlatego jednak może, że jest to za wcześnie, lecz raczej ze względu na lekkie bankructwo takich idei w ostatnich czasach.

Kowno, w kwietniu 1935.

STANISŁAW WESTFAL

JADĄC LĄDEM, WCHŁANIASZ W PŁUCA
KURZ—NA KAŻDYM KILOMETRZE—
CZYŻ NIE MILEJ SAMOLOTEM
PRZEZ PRZECZYSTE MKNĄĆ
POWIETRZE!!!

POEZJA

TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK: *Wichry republikańskie*. Warszawa 1934. F. Hoesick.

Autor, który w tomiku *Owocobranie tajemne*, wydanym w r. 1933, zaprezentował poziom poprawności wersyfikacyjnej, w tematyce i frazeologji poetyckiej nie odbiegający od Staffa i Leśmiana, daje w nowym tomiku wiersze o podobnym charakterze, probuje też sił na tematach, zatrącających o sprawy społeczne, i tu znów osiągnięcia jego nie wnoszą żadnych nowych, oryginalnych, własnych tonów. Broniewski panuje nad autorem. Wiersze wyglądają raczej na ćwiczenia poetycko-stylistyczne, niż na żywą twórczość. Zdolność autora do kulturalnego składania słów w strofy, rymowania i mało indywidualnego obrazowania, mechaniczne stosowanie wzorów obcego toku poetyckiego — te cechy sprawiają, że książkę należy zakwalifikować jako jeden z produktów masowej, poprawnej, standaryzowanej niejako poezji, która co roku zalewa rynek tomikami średniej przeciętnie wartości, nie wyróżniającemi się niczem szczególnem.

JAN SZTAUDYNGIER: *Kantyczki śnieżne*. Poznań 1935.

W bezpretensjonalnej formie zawarte przeżycia narciarza, zachwyty nad przyrodą i pejzażem zimowym, zachłyśnięcia się pędem, ujmują swą bezpośredniością i prostą szczerością wyrazu. Te płynne wiersze, miłe w swej kasprowiczowskiej prostocie, nie mają pretensji do szczytów poezji, ale też i nie odznaczają się wybitnemi walorami poetyckiemi, zdają się być pisane jakby na kolanie. Autor niewiele włożył pracy w wykłarowanie ich formy słownej, dźwiękowej, składniowej („Nie jest to dobra nowina, której sam prorok gnuśnie pod ciepłej pierzyny puchem przeciągnie się, nim uśnie“), choć wersyfikacja jest urozmaicona i dynamiczna, zgodna z rytmem uczucia. Prostocie tych wierszy dobrze odpowiada tytuł: *Kantyczki*. Tematycznie w gruncie rzeczy błahe i dość blade w opisach, tak jakby autorowi nie starczyło słów dla oddania swych świeżych i mocnych przeżyć. Czuje się właśnie w tych wierszach jakąś niewspółmierność między siłą przeżycia i niepokrywającym się z przeżyciem wyrazem formalnym, zbyt ubogim w środki. A zdaje się, że autor mógł zdobyć się na większy wysiłek twórczy.

JÓZEF ANDRZEJ TESLAR: *Metamorfozy*. Warszawa. Nakł. autora. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

Autor tego pokaźnego tomu poezji, wydanego, jak w nocie zaznaczono, po czternastu latach milczenia, jest organizacją szczerze poetycką. Świadczy o tem stopień napięcia wzruszeń poetyckich, których treścią są bardzo ludzkie przeżycia o zasięgu metafizycznym i wrażliwość na piękno i nędze świata. Wysokie napięcie twórczego pędu, zagłębianie się w sens ludzkiego istnienia, siła przeżyć wewnętrznych i przemyśleń — sprawiają, że dla poety nieistotne stają się już sprawy form wyrazu. Autor daje swym przeżyciom wyraz jaknajprostszy, możnaby powiedzieć: przypadkowy, nie komponuje, choć mimowoli wiersze zamyka w pewne całości, nie stara się, jak sam twierdzi, o piękno poetyckie. Szczerze i otwarcie mówi o swym stosunku do własnej sztuki: „prostotę wyryłem na tarczy, zachwyt kilku przyjaciół za poklask mi starczy. Niepotrzebne mi żadnych sztuczek śmieszne szczudła, gdy na skrzydłach ulatam do świętego źródła“. Poczem pyta: „gdy serce z przerażenia krzyczy, gdy po drodze zostawia ślad za sobą krwawy, czyliż wtedy muskonych słówek dźwięki liczy i czy szuka na zimno we wierszach zabawy?“

Jednakże sens poezji nie leży tylko w bezpośrednim wyrazie przeżyć, w wylewie uczuć jednostkowych, lecz przedewszystkiem w zamykaniu ich w formach, któreby stawały się tworami niezależnemi od ich twórcy, któreby istniały niejako same dla siebie, posiadały jakby byt idealny, — i to w formach, których złożona organiczność byłaby zarazem wyrazem piękna. Prostota jest tu, w poezji, sprawą najtrudniejszą, tak jak trudną jest sprawa złożenia wielu elementów w organiczny, jasny układ. Przytem autor nie przeprowadził konsekwentnie swych idej, ponieważ prostota ogranicza się u niego do pisania białym wierszem i do drobnych odchyleń od miarowej rytmiki (zaledwie trzy wiersze zamknął w strofy rymowane). Zato formy obrazowania, często patetyczne, mają w sobie wiele sztuczności młodopolskiej („topazy żarów miłości, szmaragdy wątłych nadziei, to ametysty obietnic, perły mdlejących rozkoszy, to diament szczęścia...“), lub prostota ich polega na banalności utartych wyrażeń, o toku poezji romantycznej, a tylko wielki talent poetycki potrafi przywracać świeżość takim wytartym słowom i wyrażeniom. Wiersze Teslara, choć zjednywają swą szczerością i brakiem pozy i robią wrażenie napisanych przez człowieka o poetycznem usposobieniu, nie stoją na poziomie wymagań, jakie stawiamy dziś poezji.

STEFAN GLASS: *Samotna udręka*. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej S. A.

Utwory Stefana Glassa, wydane po śmierci autora, są tylko świadectwem zainteresowań i prób literackich ciekawej osobowości, człowieka, uzdolnionego zresztą w innym zupełnie kierunku (matematyka). Cechy ich — to szczerość przeżyć i wytarty banał formy. „Na wieki upój mnie Twych ust nektarem, niechaj Twych ramion krąg otoczy mnie na zawsze“, „Miłości gwiazda tajemnicza prowadzi w ciemną dal. Choć straszna prawda jej oblicza, a jednak życia koi żal“ — oto przykłady. Objektywnych wartości poetyckich wiersze te nie wnoszą żadnych.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

TEATR

TEATR NOWY: *Człowiek czynu*, sztuka w 3 aktach MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO.

Z wywiadu (w dzisiejszym *Pionie*), którego nie czytałem, okaże się, być może, że autor sławnej *Zazdrości i medycyny*, laureat P. A. L., jest także myślicielem. Czy to dziwne? Każdy twórca na własny użytek musi być myślicielem. Czy pójdziemy w ślad za tymi, którzy mówią, że autor sam może być głupi, ale dzieło jego może być mądre? Czy uwierzymy anegdotce Boya, że Weyssenhoff, pisząc *Podfilipskiego*, nie wiedział, że pisze satyrę? Sądzę, że nie.

Nad kwestją stosunku uświadomienia literackiego do siły twórczej zastanawiał się Hebbel i rozstrzygnął ją tak: uświadomieniu może brakować siła twórcza, ale siła twórcza zawsze ma tyle uświadomienia, ile potrzeba, aby swoje dzieło przemierzyć i rozpoznać w całej pełni to, co w niem zostało naprawdę dokonane. Podobnie mówi Croce. Autor może przecenić lub nie docenić skutków literacko-społecznych swego dzieła, ale rozumie to dzieło całkowicie. Jeżeli zaś „rozumie“ w swojem dziele więcej, niż tam naprawdę jest, jeżeli w nas wmawia rzeczy przez siebie nie stworzone, to albo nas mistyfikuje, albo—mówi o samym sobie tak samo mądrze lub niemądrze jak o wszelkich innych ludziach, dziełach i sprawach.

To, co Choromański pisał o swojej sztuce w *Kurjerze Porannym*, zasługuje bardzo na uwagę, lecz wzbudza nieufność i w porównaniu z sztuką samą i—nawet samo w sobie jest wątpliwe. Autor powiedział tam mniej więcej tyle, że Napoleon został doceniony dopiero po swoich czynach, a przedtem uchodzić mógł za niemoralnego, i gdyby był umarł przed swoją epoką bohaterską, byłby w pamięci swych współczesnych pozostał nadal niemoralnym. Otóż tutaj Choromański myli się gruntownie, i to w sposób charakterystyczny. Największą wagę dla niego ma—uznanie lub nieuznanie przez świat, przez potomność; jeżeli kto został uznany—przez kogo? przez kawiarnię Ziemiańską? przez Czachowskiego? przez Seignobosa? przez Taine'a?—wtedy cała jego przeszłość rzekomo zostaje również zaaprobowana, przyjmuje się bohatera z „dobrodziejstwem inwentarza“. Czyż tak jest naprawdę? Historja jakoś nie przebaczyła Napoleonowi mordu na ks. d'Enghien; wielu filozofów i znawców kultury uważa go za coś jak Attylę i nie daje się olśnić jego zwycięstwami wojskowemi; są też tacy, co uważają, że Francji zaszkodził, a jeżeli nawet przyczynił się do rozpowszechnienia idej rewolucyjnych po świecie, to tylko mimowoli, bo niema złego, coby na dobre nie wyszło, demiurg dziejów daje sobie zawsze radę. Sława Napoleona nie jest tak murowana, jakby się zdawało, trwa ona i pada razem z całym systemem pewnych ocen społeczno-moralnych i nawet estetycznych.

Lecz chwali się Choromańskiemu dwie rzeczy. Po pierwsze, że napisał sztukę zupełnie pozbawioną balastu reportażowego, społecznej kokieterji, sztukę „wymyśloną“ (do niedawna—obelga!), sztukę, która „idzie na całego“. Powtóre: że bądź co bądź chciał, roił, pragnął w tej sztuce pokazać czyn *in statu nascendi*, a nie w tej formie, w jakiej on się ukazuje *ex post*, gdy wywołał już pewne skutki złe czy dobre i uzyskał lub nie uzyskał aprobatę społeczną. Lecz ten zamiar autora wynika raczej tylko z jego wynurzeń, w sztuce go wcale nie widać.

I mimowoli musi się mierzyć sztukę temi jego zamiarami i określając to, czego w niej niema, określać pośrednio to, co w niej jest.

Człowiek czynu — ale czynu którego lub — jakiego? Czy *czynu wogóle*? Czy pewnego *czynu konkretnego*, który sobie obrał? Zdaje się, że to pierwsze. Że Jurek to ma być „genjusz bez teki“, i nawet nie genjusz lecz *participium futuri* od genjusz. Ale w takim razie odpadają wszystkie rojenia autora o przedstawianiu czynu *in statu nascendi*, gdyż przedstawia on nie pewien czyn, lecz pewnego człowieka, i pewien *typ*, a nie pewna *sprawa*, *kwestja* jest jego tematem.

Jaki to typ? Mieliśmy go w naszej literaturze poddostatkiem za czasów t. zw. dekadentyzmu. Przybyszewski przedstawił go w *Homo sapiens*, w *Dzieciach szatana*, Kisielewski w *Karykaturach*, Kawecki w *Kalinie*, Mueller we *Flisie*. Pełno było wówczas neurasteników i hamletów w naszej literaturze, nadludzi z kawiarni i szyneczku, których całem bohaterstwem było ostatecznie — uwodzenie panienek. I jeżeli Choro-

WYDAWNICTWO
TOWARZYSTWA KRZEWIENIA KULTURY TEATRALNEJ W POLSCE.

TEATR

MIESIĘCZNIK,
POD REDAKCJĄ EUGENJUSZA ŚWIERCZEWSKIEGO,
poświęcony aktualnym sprawom sztuki teatralnej w Polsce i zagranicą, ze specjalnem uwzględnieniem spraw repertuarowych teatrów T. K. K. T.

Dotychczas w siedmiu zeszytach *Teatru* prace swoje zamieścili:
Boy-Żeleński, W. Brumer, S. L. Centkiewicz, dr. S. Essmanowski, B. Gorczyński, prof. dr. K. Górski, K. Husarski, M. Hemar, K. Irzykowski, J. Kaden-Bandrowski, S. Kuszelewska, J. Lorentowicz, prof. dr. Z. Łempicki, S. Miłaszewski, R. Ordyński, dr. L. Pomirowski, M. Pawlikowska, dr. L. Simon, L. Schiller, J. E. Skiwski, dr. A. Szyfman, dr. Fr. Szyfmanówna, E. Świerczewski, F. Sobieniowski, Z. Tonecki, prof. dr. A. Tretiak, K. Wierzyński, A. Wieniawski, dr. Wł. Zawistowski i inni.

NA TREŚĆ NUMERÓW SKŁADAJĄ SIĘ:
artykuły ogólne, literackie i historyczne, dotyczące teatru, sprawozdania z książek, wywiady, kronika i t. d.

Prenumerata wynosi rocznie 6 zł., półrocznie 3 zł., kwartalnie 1.50 zł.
Zeszyt pojedyńczy 50 gr.
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, SENATORSKA 21/23, TEL. 616-65.
ADMINISTRACJA: TRĘBACKA 10, TEL. 513-23.

ras. 12442/3/21

mański o swoim bohaterze mówi, przez usta jego samego, że „komu nie jest dane zatryumfować na polu bitwy, ten może jeszcze zatryumfować w łóżku" — to wszystko to już było i ci ówcześni aspiranci na bohaterów również lubili pluć we własną duszę. Od tego czasu wszyscy ci dekadenci byli na wojnie, przekonali się o własnej tężyźnie, także Jurek był na wojnie i spisywał się dzielnie — czegóż mu brakuje? Czy nowego pola do popisu? Czy jest człowiekiem, którego roznosi jakaś nieznana żądza, jak Witana z *Ugorów* Żyznowskiego, jak owego kapitana polskiego z *Teresy Hennert* Nałkowskiej, lub okrutnego Morfa z nowel Wierzyńskiego? Niewiadomo.

W rodowodzie Jurka jest też Raskolnikow Dostojewskiego, ten poronony Napoleon. Ale oto i różnica. Gdy Raskolnikow ma na celu pewien czyn konkretny, Jurek nie ma żadnych planów, żadnych skłonności, żadnych ambicyj ze specjalnemi wizjami; może czeka na jakąś sposobność lub natchnienie Boże. I to znowu czyni nam go niezrozumiałym i obcym.

Bo jedno z dwojga — albo problem, który sobie obrał Choromański, jest problemem *wykonania* czynu, albo problemem *wyboru* czynu. Jeżeli chodzi o wykonanie, to przytoczeni już bohaterzy utworów z epoki dekadenckiej opóźniali się, zwlekali; mówiono wtedy o neurastenji, hamletyzmie, niedołęstwie, i przesileniem tej epoki było *Wesele*, nagłe uleczenie neurastenji przez jasne wskazanie istotnego celu. Jurek z niczem nie zwleka, bo tylko czeka na to, by go coś wzięło. Jeżeli zaś autorowi chodziło o wybór czynu, to należało przedstawić choćby kilka możliwości równie pociągających, jakąś wielką kolizję zdolności, obowiązków, wizyj, — kolizję, która może zmiażdżyć człowieka.

O jednej i drugiej ewentualności pisałem zresztą swego czasu dość obszernie w moim *Czynie i słowie*. [illegible] jednej ani drugiej niema w *Człowieku czynu*. Jedyne, co pozostaje jako tako ziszczone w tej sztuce, jest ogromny strach jej bohatera przed kompromitacją życiową, przed zniesławieniem, albo lepiej: przed p r z e s ą d z e n i e m s w e g o j a. (Wciąż pod jego skórą czuję literata, dorabiającego się sławy). To też konsekwentnie — i to jest jedyna konsekwencja w sztuce — gdy jego kochanka rzuca mu w twarz słowa: jesteś niczem, nigdy nic z ciebie nie będzie, jesteś zbrodniarz i w dodatku niedołęga! — ogarnia go wściekłość i dusi ją. Czuje się spetryfikowanym, zamurowanym w tych określeniach, „zważonym na wadze", jak mówi biblja.

Gdyby autor umiał swoją ideę dobrze urzeczywistnić, toby nie pozwolił również na to, aby także widz od samego początku o tym Jerzym swoje zdanie przesądzał, utrzymywałby ten sąd ciągle w stanie wahania, niepewności, — czyli: *in statu nascendi*, tak samo jak czyn. Powstałaby była rzecz mocna i ważna. Wołałaby do tych, co walczą, co porają się z trudnościami, z wyborem, z wykonaniem, do tych, którym grozi klęska niepowodzenia i niepamięci: cierpcie i bądźcie cierpliwi, walczcie, wasza obecna walka ma także wartość bez względu na powodzenie, poeta o was myśli, choć ludzie was potępią, sfałszują lub zapomną.

Lecz od początku autor sam — i to mimowoli! — kompromituje Jerzego, prowokuje nas do złej o nim opinji. Autor nie umiał przedstawić go uroczym, sugestywnym, sympatycznym mimo błędów, są to wszystko zalety w sztuce nazwane, postulowane, lecz nie pokazane. Natomiast pokazał go pijakiem, naciągaczem, blagierem, dziwkarzem itd. Dość przytoczyć rzecz taką: ten bohater z wojny światowej jest takim tchórzem, że uwiódłszy panienkę z dobrego domu, zamiast albo się oświadczyć o jej rękę i przyżenić do majętnej rodziny, albo jak „prawdziwy mężczyzna" nic sobie z jej ciąży nie robić, a owszem jeszcze zapłodnić i mamusię i służącą, — daje jej do zażywania chininę, drży przed tem, żeby mama Dulska w czasie wielkiego prania nie odkryła braku odpowiednich śladów na bieliźnie córki! Jakież to jest małostkowe i niezgodne z jego rzekomemi zaletami! Ale może autor chce rehabilitować właśnie to wszystko, coby w charakterze Jerzego wydało się małostkowem i śmiesznem? W takim razie niechby był zrekompensował te właściwości np. jego fantazją. Oto mamy coś takiego: bohater w półnegliżu ugania po podwórzu, aby kury łapać! Świetnie — myślimy — co za oryginał! I jeszcze w dodatku mówi: chciałem się trochę pogimnastykować! Cóż się jednak potem pokazuje? To, że łapanie kury wcale nie było fantazją miłego urwipołcia, lecz zabiegiem bardzo racjonalnym i nawet wyrafinowanym, szło bowiem o to, aby kurę zabić i jej krwią namazać bieliznę panienki — dla niepoznaki. Śmieszne to jest, materjał do rehabilitacji jest, ale napróżno czeka na zrównoważenie, — szala musi się przechylić, stan zwany *in statu nascendi* ma tylko pewną ograniczoną pojemność.

Autor to również czuje i zamiast zatrzymywać rozstrzygnięcia mimowoli sam je przyśpiesza. Oto Jerzy wywołuje naokoło rozkład; uwiódłszy córkę, wpada w oko mamusi Dulskiej, której cnota także topnieje pod wpływem jego rozwydrzonej indywidualności. Demoralizacja? Zapewne, ale trudno się tem wzruszać; sublokatorzy często robią takie figle swoim dobroczyńcom.

Ograniczyłem się do zagadnienia centralnego, nie zajmuję się szeregiem nietaktów, drastyczności, bałamuceń widza, — to należy do recenzentów pism codziennych. Gra i reżyserja była dobra, ale główną rolę p. Damięcki zepsuł, choć nie więcej niż sam autor.

KAROL IRZYKOWSKI

*

U CHOROMAŃSKIEGO PO PREMJERZE

W dniu premjery napadł na Warszawę klimat zakopiański: rósł pośpiech śnieżnej zawiei, drzewa stanęły pod grubą okiścią — jak w górach, dziw atmosfery, śnieżny opad wiosny — i natura nieodpowiedzialna. Jakgdyby maj zaczynał się w niepoczytalnej reżyserji Gruniowskiego!

— Kiedy patrzymy na zmaganie się w Gruniowskim człowieka władnego z tym innym — maluczkim, budzi się pytanie, czy można mówić o przedmiotowej odpowiedzialności za wynik tych starć. Czy według pana istnieje zewnątrz człowieka taka odpowiedzialność?

Choromański podnosił się z łóżka, wstawał prędko, ramionami szerząc ślady skrzydeł. Wyrastały cieniami na ścianie, spojrzał — w oczach nagły bronz i płomień.

— Odpowiedź macie całą w Kancie! — ręką szybki ruch ku górze: — kategoryczny imperatyw we mnie, a gwiaździsty firmament — nade mną! — Podszedł do okna, naprzeciw pochyłemu niebu — błękitne było, dołem Wisła i spadanie dachów. — Źródło postępowania ma być w nakazie moralnym, bijącym z głębi człowieka, od wnętrza, od dna! Chodzi o ten przymus, ale nie o rozumowanie. To jest decydujący poryw konieczności w nas, przekonanie, że w tej właśnie sytuacji należy postąpić tak a nie inaczej, choćby wbrew wszystkiemu, co ludzie dookoła głoszą. Przymus ten działa jako coś zgoła irracjonalnego, jego dynamika nie jest dziełem woli.

— A nie echo spinozjańskiego stanu natury, kiedy swobodę człowieka wyznacza zasięg jego mocy?

— Pan szuka abstrakcji, a mnie chodzi o filozofję praktyki. Dla mnie istnieją trzy moralności, proszę panów. Moralność prywatna jest sprawą tego, co się czuje i jak się czuje. Robię zastrzeżenie: autonomja człowieka nie jest równoznaczna z pojęciem samowoli — ma granice, określone czystością pobudek wszelkiego czynienia. Moralność społeczna wynika z prywatnej, ale dopiero państwo wskazuje obywatelom objektywne kryterja — swego dobra. Jednak i siła moralna państwa zależy od czystości i stopnia sublimacji pobudek, rządzących jednostkami.

— Sprawdzianami działalności, proszę pana, muszą być fakty dokonane. Jakże Gruniowski może być człowiekiem czynu, gdy nie widzimy, aby czegokolwiek dokonał poza dezorganizacją rodziny mieszczańskiej i obroną złodzieja? Ale chyba tu pomoc — to nie czyn?

— Oczywiście, to nie czyn. Wszystkie czyny w tej sztuce odbywają się na niby i stąd jej pretensje do komedji pomyłek. W pierwszym akcie Gruniowski wbrew oczekiwaniom widzów wraca żywy, ale zato pijany; w drugim — Helenka wbiega z rewolwerem, widownia spodziewa się strzału... z nienabitej broni, a w trzecim akcie Gruniowski teroryzuje Brabaszu rewolwerem, którego nie posiada. Ta komedja pomyłek znalazła przedłużenie w interpretacjach rzekomego zmartwychwstania Helenki, za co zresztą ponoszę częściową odpowiedzialność, gdyż maszynopis sztuki opatrzyłem uwagą — „z początku robi to wrażenie, że wstaje trup" — uwagą, która mogła wywołać nieporozumienia. Helenka poprostu budzi się ze stanu t. zw. synkopy, spowodowanej wstrząsem fizjologicznym. Macie tę samą ironję, co w *Zazdrości i medycynie*. Rebeka nie sądzi, aby należało ją przepraszać za męczarnie operacji — „niema za co" — powiada. Wyobraźmy sobie ten moment na scenie: rozładowanie napięcia znalazłoby swój wyraz tylko w śmiechu!

W jednem zwarciu brwi milczenie i przebieg namysłu.

— Pytał pan, dlaczego Gruniowski jest człowiekiem czynu? Mówi się często — ten człowiek ma talent, panowie wiecie o tem? Ale jeszcze nie drukował, jeszcze nie mamy faktu! Talent będzie w nim istniał jako możność niezrealizowana, jako sugestja. Nie należy rozbijać tych pojęć — człowiek i czyn, trzeba je przyjąć w złączonej całości, one są właśnie sugestją.

— Proszę pana, skoro w Gruniowskim człowiek czynu znajduje się *in potentia*, to jaka jest dialektyka tej przebudowy moralnej, o którą woła raz po raz, pełen patosu? Czy istnieje sprecyzowany plan tej rewolucji, czy też Gruniowski — poprostu go się domagał?

— Od czasu wojny pragniemy wszyscy odnowienia człowieka. A czy program istnieje — z tem pytaniem zwróćcie się panowie do społeczeństwa.

— Innemi słowy, Gruniowski nie chciał nowej moralności, lecz nie wystarczała mu moralność dotychczasowa? Ale tego rodzaju stanowisko nie wyznacza praktycznych dróg przebudowy moralnej, o jaką chodzi.

— W ciągłej walce o państwo, o jego rozkwit, o rozkwit polskości i siły, potrzeba procesu uświadamiania sobie nakazów moralnych w praktyce codziennej. Uczy się osobistym przykładem, a nie kodeksem karnym. Czysty człowiek umoralnia każdą robotę. I brudną. Wszelka działalność powinna mieć początek w akcie przebudowy moralnej. Gruniowski uświadamiał sobie tę konieczność, lecz, marząc o końcu moralnym, nie umiał go znaleźć.

Na myśl przyszedł premjerowy sprzeciw, czas najwyższy w zapytaniu pretensje wyjawić.

— Ten człowiek czynu — podjęliśmy — dezorganizujący środowisko, nie zostaje ani razu skonfrontowany z bezpośrednią perspektywą działania na zewnątrz, godną jego przypuszczalnej miary. Wtedy można byłoby w sposób całkowity zdać sobie ściśle sprawę, ku czemu Gruniowski w istocie zmierzał i dlaczego swoich pasyj nie realizował, ten człowiek powinien nosić w sobie fermentującą konieczność jasno sprecyzowanego działania. Gdzie tkwiło źródło paraliżu?

Choromański stał lekko pochylony ku tyłowi, było w nim teraz coś z atlety, każde słowo oczami odpierał.

— Chcecie IV aktu? Wbrew opinji Gruniowski nie był pozbawiony zdolności do czynu. Może zarówno tak, jak i nie. Chodzi o to, żeby człowieka natchnąć i wyposażyć w jak największą ilość możliwości, które każdej chwili mogą dojść do głosu. Nie chciałem przed nim żadnej drogi zamknąć, w życiu przecież nigdy nic nie wiadomo, bogactwa różnorodności nie można sprowadzać do wulgarnego albo — albo. Ile razy w życiu już się tak zdarzało, że człowiek w obliczu jednej decyzji zawodził, a kiedyindziej znowu — potrafił znacznie trudniejszym koniecznościom sprostać. Pan się domaga jeszcze jednego dramatu niemocy, obnażonej *in statu nascendi*. Dlaczego mówiłem, że każdy człowiek jest niemoralny aż do chwili zrealizowania czynu? Dlatego, proszę panów, że w momencie wyboru wśród możliwych dróg postępowania człowiek zaraża się wszystkiemi konsekwencjami możliwości, branych pod uwagę, co obciąża go sugestją spełnień i piętnuje. Człowiek, nie płacący praczce, bywa podejrzewany o niechlujstwo moralne. Dopiero w odniesieniu do czynów, przerastających zwykłą miarę, tamta sugestja płowieje, niewiadomo jak dalece słusznie. Napoleon i m-me Sans-Gêne! Z tego stanowiska moralność Gruniowskiego jest kwestją wciąż otwartą. To wszystko, co — jako autor — mogę powiedzieć o sztuce. Zresztą, kto wie, czy Gruniowski-słowo, a Gruniowski, który stał się ciałem, nie są innemi postaciami. Żyje teraz swojem własnem życiem, sprawiając autorowi niespodzianki i przykrości. A może ludzie naszych czasów widzą w bezideowości Gruniowskiego — swoją, niezależnie od zamiarów autora?

Pokój gasł, słowa zapadały w ciszę, za oknami topniały premjerowe śniegi.

Rozmowę przeprowadzili

ALFRED ŁASZOWSKI i WŁODZIMIERZ PIETRZAK.

M U Z Y K A

Kwiecień nie był tak obfity w koncerty, jak marzec, ale zato ilość została w tym czasie szczodrze zrekompensowana jakością czy to doboru dzieł, czy świetnego poziomu wykonania.

W muzyce, podobnie jak w innych dziedzinach sztuki, siła doznania artystycznego zależy od wielu czynników, nie zawsze tkwiących w istocie samego dzieła.

Utwory dawne np. uchwytną określonością stylu, patyną, historyczną marką, niezależnie od swej bezwzględnej wartości, mogą oddziaływać silniej, niż na to zasługują. Podobnie, choć z przeciwnej niejako strony, działają utwory muzyki najnowszej, podniecając wyobraźnię słuchacza swym ostro wrzynającym się charakterem oryginalności, nowych perspektyw treściowych i formalnych. Do dzieł zaś „żelaznego" repertuaru odnosimy się z tym solidnym szacunkiem pewności, jaką daje nawyk, ustalony przez wypadkową życia ostatnich pokoleń. Stosunkowo natomiast rzadko zdarza się, by bezwzględna wartość dzieła i jego wykonania roztapiała wszelkiego rodzaju kulturalne nastawienia i nawyki, wyzwalając w duszy słuchacza doznanie czyste, jakby poza czasem i przestrzenią, wrażenia doskonałości absolutnej. Tego rodzaju tchnienie „absolutu" dawało się odczuć w niektórych momentach piątkowego koncertu (z dnia 5. IV.), poświęconego współczesnej muzyce francuskiej. Sprawcą tych doznań był przedewszystkiem Robert Casadesus, znakomity pianista, znany i podziwiany niejednokrotnie przez słuchaczy warszawskich.

W wykonaniu Warjacyj symfonicznych C. Francka z towarzyszeniem orkiestry, szczególniej zaś w *Images* Debussyego, wydobył Casadesus całą finezję tej jedynej obok Chopina muzyki, łączącej w sobie szlachetny, typowo francuski sensualizm, nastrojowość i fantazję z klarownym składem intelektu.

Orkiestrowe utwory żyjącego pokolenia kompozytorów francuskich, jak Symfonja *A-dur*—P. O. Ferroud, *Bal venitien*—C. Dalvincourta, *Divertissement*—J. Iberta, wykonane pod dyrekcją G. Fitelberga, wskazują, że walka o wyzwolenie muzyki francuskiej z pod wpływów obcych, głównie niemieckich, rozpoczęta przez C. Francka, kontynuowana przez Debussyego, wydała owoce. Muzyka francuska ma swój indywidualny rasowy styl i perspektywy rozwoju dalszego. Wykonane jednak na wieczorze utwory mają raczej charakter twórczych poszukiwań i nie staną się trwałym nabytkiem w powszechnym skarbcu muzycznym.

W trzy tygodnie potem, ostatni piątek kwietnia poświęciła Filharmonja Warszawska muzyce włoskiej. Włosi, jeżeli dla twórczości R. Wagnera zachowamy odrębne miano dramatu muzycznego, utrzymali do ostatnich czasów hegemonję w dziedzinie opery, zaniedbując muzykę symfoniczną. Po wojnie daje się zauważyć dążność do odrobienia dziedziny, leżącej prawie odłogiem. Sądząc po utworach, które zostały wykonane na *festivalu*, wysiłki te idą w dwóch kierunkach. Muzycy włoscy z jednej strony nawiązują do tradycji dawnej, dokonując różnego rodzaju przeróbek i transkrypcyj utworów z XVII i XVIII wieku. Tak więc usłyszeliśmy *Concerto grosso D-moll* Vivaldiego w opracowaniu Silottiego na dzisiejszą orkiestrę, oraz sonatę Scarlattiego. Najciekawszym jednak przykładem tej twórczej symbiozy współczesności z tradycją były *Ptaki* Respighiego, rodzaj suity orkiestrowej, opartej na motywach utworów dawnych. Z drugiej strony dążą muzycy włoscy do stworzenia oryginalnej muzyki symfonicznej. Widocznie jednak trudno im otrząsnąć się zupełnie z nawyku operowości. Uderza to u R. Zandonaiego we fragmencie orkiestrowym *Romeo i Julja*, w którym pompatyczno-ilustracyjny styl całkowicie jeszcze dominuje. W utworach zaś Massettiego, Rosseliniego i Petrassiego różne oznaki, jak humor, specyficzny egzotyzm, wskazują na związki z podnietami literackiemi.

„Bohaterem" wieczoru był Willy Ferrero, młody lecz mający za sobą wieloletnie doświadczenie dyrygent, i co najważniejsza, obdarzony wybitnym talentem. Na czem właściwie polega twórcza oryginalność dyrygenta, w czem się wyraża? Materjału „doświadczalnego" do snucia rozważań na ten temat, prócz swoistego rodzaju doznań artystycznych, jakich dostarcza talent odtwórczy dyrygenta, koncerty kwietniowe dostarczyły wiele.

W tydzień bowiem przed festivalem muzyki włoskiej wystąpił z jedynym koncertem Bruno Walter, dyrygent o wszechświatowej reklamie. Reklama ta nie była czcza i nie zrobiła zawodu. Bruno Walter poprowadził znakomicie *Leonorę 3* i *Eroikę* Beethovena. Jeżeli dyrygent może być porównany do swojego rodzaju inspicjenta, którego zadaniem czuwać nad ścisłem i właściwem wykonaniem przez zespół orkiestrowy wszystkich znaków i wskaźników, jakie podaje tekst muzyczny, Bruno Walter czuwał nad tem idealnie. Nie podporządkowywał on dzieła swoim upodobaniom czy kaprysom, pozwalał mu wybrzmieć swobodnie. Ma również B. Walter cenny dar i to w wysokim stopniu zniewalania zespołu, stapiania go w organiczną całość tak, że pracuje on jak jeden idealny instrument. Czuło się, że „gra" na nim dyrygent według swej woli i dzieło muzyczne, które nie istnieje objektywnie w trójwymiarowej przestrzeni jak obraz lub rzeźba, powołuje do życia z tajemniczej nicości znaków. *Leonora* i *Eroica*, utwory tak ograne i dlatego tak łatwo ulegające zbanalizowaniu, tchnęły świeżością, były nowe i pełne głębokiej poezji, nie tracąc przytem nic z historycznych właściwości stylu. Na tym wieczorze, tak obfitym w najszlachetniejsze doznania, jakich dostarczyć może sztuka muzyczna, młodziutki skrzypek, Henryk Szeryng, odegrał koncert skrzypcowy Beethovena. Posiada on niewątpliwie nieprzeciętne uzdolnienie muzykalne i duży zasób doświadczenia wirtuoza, ale w świetle potężnego talentu B. Waltera walory te nie mogły przejawić się tak wyraziście.

Źródłem innego rodzaju wrażeń były dwa koncerty w Filharmonji Warszawskiej z dnia 12 i 14 kwietnia. Na pierwszym z nich, urządzonym staraniem Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki, usłyszeliśmy rzadko grane utwory symfoniczne: *Concerto grosso F-dur*—Vivaldiego i Symfonję *B-dur* Johanna Christiana Bacha, syna wielkiego Jana Sebastjana. Ciekawą niespodzianką dla melomanów był koncert fortepianowy *C-dur* Lessera, Polaka, ucznia Haydna, odegrany z szlachetną precyzją przez Z. Drzewieckiego. Ten piękny i pełen wdzięku utwór, operując motywami muzyki ludowej polskiej, staje się jakby poprzednikiem wielkiej twórczości Chopina.

Drugą część koncertu wypełniły produkcje Poznańskiego Chóru Katedralnego pod dyrekcją ks. Gieburowskiego. Program zawierał religijne utwory dawnych mistrzów jak Palestrina, Orlando di Lasso, z polskich kompozytorów Wacława z Szamotuł, Bartłomieja Pękiela, a wreszcie trzy pieśni J. Brahmsa. Kompozycja tego ostatniego p. t. *W lesie*, dość banalna w swej fakturze, wpleciona do programu jako numer popisowy, wykazała doskonałą sprawność techniczną tego zespołu śpiewaczego. Chór Poznański posiada jeden dość poważny brak, nie będący zresztą niczyją winą, rozporządza mianowicie średniej wartości materjałem głosowym. To jednak, czego może dokonać systematyczna praca, dobra szkoła i talent pedagogiczno-artystyczny kierownika—te warunki zespołu przedstawiają się jak najlepiej. To też Poznański Chór Katedralny poziomem wykonania swego pięknego i poważnego repertuaru dowodzi, że jest nietylko jedynym zespołem śpiewaczym w Polsce w tak wysokim stylu artystycznym, ale także może konkurować z najlepszemi tego rodzaju chórami zagranicy.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

MŁODYCH PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW

Spółdzielnia z odp. udziałami

W WARSZAWIE, UL. KOPERNIKA 30

JEDYNA INSTYTUCJA WYDAWNICZA
MŁODEGO POKOLENIA PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW

Poleca następujące nowości:

Jan Namitkiewicz — Kodeks handlowy. Komentarz. Tom I . . .	broszura	10.—
	w oprawie	12.—
Jan Namitkiewicz — Kodeks handlowy. Komentarz. Tom II . . .	broszura	12.—
	w oprawie	14.—
Tadeusz Bernadzikiewicz — Nowe prawo o bilansach		2.—
Tadeusz Bernadzikiewicz — Wyniki bilansowe a rzeczywiste przedsiębiorstw państwowych w Polsce		5.—
Tadeusz Bernadzikiewicz — Zagadnienie rentowności przedsiębiorstw		4.—
Zygmunt Czerwijowski i *Tadeusz Świda* — Kapitalizm i socjalizm a rolnictwo . .		2.—
Juljusz Wisłocki — Akademicki kodeks honorowy		2.—

Do nabycia:

W DZIALE PRAWNO-EKONOMICZNYM

KSIĘGARNI ROLNICZEJ

WARSZAWA, MAZOWIECKA NR. 10

i we wszystkich innych księgarniach.

cres. 12442/3/19

Stwierdzenie tego umożliwił występ wrocławskiej *Singakademie*, której chór zaprodukował się słynną *Pasją według św. Mateusza* J. S. Bacha. Abstrahując od trudności, związanych z wykonaniem tego monumentalnego dzieła, porównanie wypada na niewątpliwą korzyść chóru polskiego. Techniczne wykonanie *Pasji* było raczej przeciętne, całkowicie poprawne, z tą systematyczną wzorowością niemiecką, która potrafi osiągnąć nietylko nienaganną sprawność w całości i szczegółach, ale wydobyć, dzięki dużemu kapitałowi tradycji wykonawczej, właściwe akcenty architektoniczne i utrzymać się w stylu. To też przemawiało przedewszystkiem dzieło niezrównaną mocą, czystością i głębią liryki, przedziwną prostotą aryj i kunsztem polifonicznym partyj chóralnych, podniosłym tonem nastroju, na jaki nie zdobył się dotąd żaden z twórców XIX i XX wieku, monumentalnością wreszcie rozmiarów.

ST. FURMANIK

KRONIKA

O WSPÓŁPRACĘ KULTURALNĄ POLSKO-SŁOWACKĄ

Wiele obszarów pogranicznych Polski tworzy tereny o charakterze odrębnym od reszty kraju, podobnym zato do odpowiednich odcinków z drugiej strony granicy. Badania naukowe na tych terenach muszą być prowadzone odrębnie i przy współudziale uczonych z obydwu stron pogranicza.

Właśnie program takiej kolaboracji na jednym z granicznych odcinków omówił prof. Wł. Semkowicz w rozprawie *O polsko-słowackich terenach współpracy naukowej i kulturalnej*, umieszczonej w księdze jubileuszowej ku czci znanego działacza słowackiego, Józefa Škultetego. Autor, po wykazaniu potrzeby odmiennego traktowania w nauce pogranicza polsko-czeskiego i polsko-słowackiego, tak ze względu na warunki geograficzne jak i historyczne, przechodzi do omówienia możliwości współpracy na polu różnych dziedzin nauki. I tak w geografji i geologji polscy i słowaccy uczeni wspólnie już badają szereg zagadnień; w antropogeografji, szczególnie przy opracowywaniu pasterstwa tatrzańskiego, badania uczonych z obydwu stron dały już szereg efektywnych wyników (prace Pacewiczowej, Krála, Kubijowicza i in.). Akcja nad ochroną przyrody i w tworzeniu parków narodowych w Karpatach stanowi również cenny przyczynek do tej współpracy. Na polu etnografji wiele należy się spodziewać po współdziałaniu nauki polskiej i słowackiej, ze względu na wiele jednakowo występujących u górali z obydwu stron Karpat pierwiastków. To samo dotyczy i językoznawstwa; już obecnie współpraca jest widoczna w badaniach naukowych, przedsięwziętych przez młodszych polskich językoznawców na terenie Słowacji (Małecki, Stieber).

Odrębnie przedstawiają się perspektywy na polu historji. Dopóki nauka historji obracała się głównie w zakresie zagadnień politycznych, dzieje naszego południowego pogranicza ograniczały się do przedstawiania dziejów stosunków polsko-węgierskich; dziś, gdy zagadnienia gospodarczo-społeczne odgrywać zaczynają w nauce historycznej coraz znaczniejszą rolę, uwidocznia się znaczenie żywiołu słowackiego w badaniach naszych kresów południowych. Współpracy nauki polskiej i słowackiej wymagają np. dzieje osadnictwa. Należy zaznaczyć, że sam prof. Semkowicz ogłosił w wydawnictwach Muzeum Tatrzańskiego *Materjały źródłowe do osadnictwa Górnej Orawy*, będące owocem dłuższych badań, głównie na Słowacji i na Węgrzech, i zadedykowane słowackiemu historykowi Orawy, księdzu Kohuthowi.

Nawet jeśli chodzi o dzieje polityczne, to i tu autor wskazuje nam możliwości odszukania tradycji stosunków polsko-słowackich. Górne Węgry zaludnione były przez Słowaków i taka np. pomoc dana Łokietkowi przez Górne Węgry była pomocą słowacką. Tak samo w czasie zajęcia Węgier Środkowych przez Turków, pozostała część Węgier była krajem słowackim, słowacką—acz uważającą się państwowo za Węgrów—była tu szlachta i możnowładztwo, z któremi Polska liczne utrzymywała stosunki.

Podobna współpraca powinna być zastosowana i przy historji literatury (dotychczasowe badania porównawcze Bobka, Mečiara i in.), czy historji sztuki (ludwisarstwo polskie na Spiszu). Badania te trzeba ześrodkować w odpowiednich placówkach naukowych, położonych w obrębie polsko-słowackiego pogranicza.

Nawiązując do programu, nakreślonego przez prof. Semkowicza, dr. Wacław Olszewicz, w rozprawie *O polsko-słowacką współpracę na terenie Śląska Cieszyńskiego* (Cieszyn 1934), rozwija dalej plan kulturalnej współpracy. Jako trzeci, obok Krakowa i Zakopanego teren współdziałania polsko-słowackiego, autor proponuje Cieszyn, uzasadniając to szeregiem argumentów. Tu należą: tradycja braterstwa polsko-słowackiego w Cieszynie, gdzie się formował legjon słowacki w r. 1848, gdzie przebywał na emigracji i zmarł jeden z przywódców narodowych słowackich w XIX wieku, M. M. Hodža; tradycja zainteresowań się Słowacją w Cieszynie; przed wojną polska prasa w Cieszynie sporo miejsca poświęcała sprawom słowackim; dawne związki, istniejące między Cieszynem a ewangelikami słowackimi (działalność Trzanowskiego w Cieszynie i na Słowacji w XVII wieku); bliskość i łatwość komunikacji ze Słowacją przez Jabłonków i Żylinę, przejawiająca się ostatnio w skierowaniu wielu wypraw turystycznych ze Śląska Cieszyńskiego w pograniczne słowackie pasma górskie np. w Małą Fatrę.

J. R.

*

OPIEKA NAD DZIECKIEM I PRACE PRZYGOTOWAWCZE DO KONGRESU DZIECKA

„Żadne reformy nic nie zdziałają dla szczęścia ludzkości, jeśli ludzie pozostaną tacy sami, jak są. Człowieka nowego kształtować, człowieku doskonalić potrzeba, a świat stanie się szczęśliwszym i lepszym".

Ellen Key.

Stosunek społeczeństwa naszego do młodzieży nie jest taki, jakiego wymaga nasze trudne położenie geograficzno-polityczne, ani na jaki zasłużyło sobie młode pokolenie swoją dzielnością i patrjotyzmem w latach niewoli. Poczucie, że dziecko jest wielką wartością społeczną, istnieje u przeciętnego obywatela w bardzo małym stopniu. Prowadzi to do ześrodkowania uczuć na własnych tylko dzieciach i do obojętności wobec wszystkich innych. Stowarzyszenie Uczestników Walki o Szkołę Polską zajęło się zagadnieniem stosunku społeczeństwa do dziecka, dążąc do tego, aby stosunek ten uległ zmianie na lepszy i głębszy. Do powodzenia pracy w tym kierunku nieodzowny jest wspólny i trwały wysiłek licznych rzesz stowarzyszonych oraz żywy oddźwięk w wielu organizacjach o charakterze pokrewnym i w szerszych sferach świadomych obywateli.

Ostatni zjazd uczestników Stowarzyszenia Walki o Szkołę Polską, który odbył się w d. 2 i 3 lutego r. b., poświęcony był głównie zagadnieniom opieki nad dzieckiem.

W referacie swoim *Prawo do dziecięctwa i do młodości* p. Helena Radlińska między innemi zaznaczyła, że dzieci nie są wyłącznie przyszłością narodu, są one również współobywatelami teraźniejszego bytu, gdyż do dwudziestego roku życia stanowią prawie 46% ludności, a blisko 25%—to dzieci poniżej lat dziesięciu. Podstawowe prawa dziecka wypowiedziała Deklaracja Genewska z r. 1923, którą podpisał również przedstawiciel Polski, w następujących punktach: dziecko powinno mieć możność odpowiedniego rozwoju ducha i ciała; dziecko głodne powinno być nakarmione, chore—pielęgnowane, niedorozwinięte—otoczone opieką, wykolejone—sprowadzone na dobrą drogę, sierocie i opuszczonemu dziecku należy dać pomoc i opiekę; w razie klęski należy ratować przedewszystkiem dzieci; przygotować dziecko do samodzielnego bytu i chronić przed wyzyskiem; rozwijać w dziecku gotowość współdziałania i używania swych najlepszych wartości dla ogólnego dobra.

Opieka społeczna nad młodzieżą nie może się ograniczać do młodzieży szkolnej. Musi ona objąć szersze kręgi młodocianych obywateli, udzielając im pomocy w kształceniu się, poradnictwa zawodowego, pośrednictwa pracy, pomocy kulturalnej, organizowania rozrywek, opieki nad wzrostem fizycznym.

Referat p. t. *Stosunek do dziecka jako wyraz kultury* wygłosił na zjeździe p. Stanisław Dobrowolski. Referent podkreślił, że ustosunkowaniem takiem czy innem do dzieci różnią się nietylko poszczególni ludzie między sobą, ale całe klasy społeczne i narody. Inaczej ten stosunek przedstawia się we Francji niż w sąsiadującej z nią Szwajcarji, inaczej w Anglji niż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, inaczej w Berlinie niż w Wiedniu i t. d.

W niewielkiej Austrji powojennej dziecko otaczane jest opieką i troską. W państwie tem złożono wszelkie nadzieje w młodem pokoleniu. *Für Kinder alles*—oto hasło gminy Wiednia i jego obywateli. Natomiast w bogatej Francji stosunek do dzieci przedstawia się nieszczególnie. W Stanach Zjednoczonych miłość ku dzieciom znajduje silny oddźwięk w społeczeństwie, o czem przekonaliśmy się sami w okresie naszej nędzy powojennej. W Japonji panuje kult dziecka: dziecko kochane jest tam bezinteresownie i w kraju tym nie słychać płaczu dzieci. Bezinteresownej serdeczności japońskiej doznały dzieci polskie, wracające z Syberji do ojczyzny. W Prusach zaobserwować się daje przeważnie brutalność w stosunku do dzieci.

Dziecko jest pięknem zjawiskiem życia, pełnem uroku i swoistych wartości. Motyw egoistyczny, motyw dobra społecznego i motyw dobra samego dziecka decydują o jego rozwoju i przyszłości. Tam, gdzie występuje użycie i wygoda, niema właściwego miejsca dla dziecka.

W rodzinie naszej zamożniejszej może dziecko otrzymuje dużo serca i należytą opiekę, zamało jednak uwzględniamy motyw społeczny. W obecnych warunkach rodzina nie może udźwignąć ciężaru opieki i wychowania młodego pokolenia nawet wspólnie ze szkołą bez współdziałania społeczeństwa. Przeciętny obywatel, nie pracujący zawodowo dla dzieci jak nauczyciel, lekarz, higjenista i t. p., jest zupełnie obojętny dla tej sprawy. Dziecko obce nie znajduje u nas poza szkołą opieki i pomocy w bardzo wielu wypadkach.

Dla ilustracji przytoczę tu fakt następujący:

Przed paru tygodniami, gdy przepełniony tramwaj (linja 12) zbliżał się do kościoła na ul. Puławskiej, stojąca w ścisku jakaś mała uczennica usiłowała przedostać się na przednią platformę, co było niewykonalne ze względu na tłum ludzi, zagradzających drogę. Wobec tego dziewczynka postanowiła wysiąść z tylnej platformy. Zanim jednak przepchała się tam, tramwaj zdążył już zatrzymać się na przystanku i ruszył ponownie. Nieopatrzne dziecko wahało się chwilę, wreszcie wyskoczyło z wagonu będącego w pełnym biegu i zwaliło się na kocie łby ulicy Puławskiej.

Czy współwiny nie ponoszą osoby, jadące na tylnej platformie? Należało albo nie dać wyskoczyć, albo zatrzymać dzwonkiem tramwaj. Nie było to jednak dziecko żadnego z pasażerów, a zatem dziecko obce, które nas tak mało jeszcze obchodzi.

Referat redaktora Wojciecha Stpiczyńskiego p. t. *Wpływ obyczaju wychowawczego na kształtowanie się dziejów narodu* miał na celu wykazanie, że człowiek wymaga w dzieciństwie i młodości głębokiej i świadomej uprawy wychowawczej, a w wieku dojrzałym wysiłku samokształceniowego. Powstaje zagadnienie wyraźnie sformułowane: albo młode pokolenie będzie przez wychowanie przygotowane do podźwignięcia twórczego zadania rozbudowy tego, co otrzyma w spadku po nas, albo też, rezygnując z pracy nad ustaleniem środków i metod wychowawczych, odstępując je tradycji, poczętej z ducha niewoli i ciemnoty, powierzamy rezultaty wysiłków naszego pokolenia opiece Opatrzności.

Metoda wychowawcza za pomocą bicia dziecka jest zła dla dwu zasadniczych przyczyn. Jest ona ucieczką starszego pokolenia od misji wychowawczej, co oznacza zupełną obojętność wobec przyszłości swego narodu, a więc upadek. W naturze polskiej czynnikiem dziejotwórczym jest tylko honor, gwałt zaś, na którym opiera się psychologja bicia dziecka, jest wrogiem honoru. Do życia wolnego i godnego, do wielkich zmagań z przeciwnościami losu w walce o Polskę wielką i wielkoduszną przysposobić młode pokolenie może jedynie szkoła honoru. Rezolucje, jakie przyjęte zostały na zjeździe w sprawie stosunku społeczeństwa do dziecka na podstawie uznania zasady, że dziecko jest wielką wartością społeczną i własnością całego narodu, streszczają się w następujących punktach:

1) uświadamianie społeczeństwa o konieczności roztaczania powszechnej i publicznej opieki nad dzieckiem oraz wskazywanie na niezdrowe warunki fizycznego i duchowego rozwoju dziecka;

2) urabianie opinji społecznej w duchu powyższym wszelkiemi środkami, przedewszystkiem przez prasę, odczyty, specjalne wydawnictwo, filmy, radjo i t. d.;

3) rozwój i pogłębienie współdziałania nauczycieli i wychowawców z rodzicami i wogóle ze społeczeństwem;

4) wpływanie na rozszerzenie obrony prawnej dzieci i młodzieży, na rozwój należyty zakładów opieki nad dzieckiem oraz na organizację poradnictwa zawodowego;

5) wskazywanie na potrzebę organizacji wczasów dziecięcych i rozrywek, sportów, wycieczek oraz czytelń, bibljotek i t. d. Wogóle należy szerzyć ideę, że nowa Polska wymaga zmiany stosunku społeczeństwa do dziecka na bliższy, serdeczniejszy, przeniknięty troską o dziecko.

Niedawno odbyła się narada nowowybranego Komitetu Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską, który po kilkugodzinnej dyskusji doszedł do wniosku, że sprawa racjonalnej opieki nad dzieckiem winna być zadaniem starszego pokolenia, które niegdyś umiało daleko sięgać w przyszłość i toczyć o nią walkę. Zarząd Stowarzyszenia nie może brać na barki swoje nawet części postulatów zawartych w rezolucjach Zjazdu, gdyż ze względu na swój ogrom przewyższają one siły i środki jednego stowarzyszenia; może tylko zachęcić różne instytucje do zajęcia się powyższemi sprawami przez zwołanie kongresu, który składać się będzie z przedstawicieli poszczególnych dzielnic Polski. I te prace w skromniejszym zakresie wymagać będą dwu do trzech lat oraz pewnych funduszów do ich wykonania. Polegać one będą przedewszystkiem na gromadzeniu referatów, które niewątpliwie napływać będą, na zbieraniu odpowiednich materjałów, zachęcaniu pokrewnych organizacyj do wzięcia udziału w kongresie, wydawaniu odpowiednich publikacyj oraz propagandzie przy pomocy prasy.

Zadania i cele, jakie nakreślił sobie Zarząd Stowarzyszenia Uczestników Walki o Szkołę Polską, winny znaleźć silny oddźwięk śród szerokich kół społeczeństwa naszego, gdyż poruszają one zagadnienia niezmiernej wagi dla lepszej i szczęśliwszej przyszłości naszego narodu.

ALEKSANDER HEFLICH

*

POLSKA AKADEMJA LITERATURY

W dniu 27, 28 i 29 kwietnia 1935 roku odbyły się zebrania Polskiej Akademji Literatury w siedzibie Akademji przy ul. Krakowskie Przedmieście 32.

W czasie obrad:

1) zatwierdzono program prac sekcyj przed ferjami letniemi,
2) wybrano Karola Irzykowskiego przewodniczącym Komisji Poprawności i Twórczości Języka Polskiego,
3) powołano Wacława Berenta na członka Sekcji Bibljotecznej i Wydawniczej,
4) po przeprowadzeniu dyskusji nad referatem Karola Irzykowskiego o zbiorze listów Stefana Żeromskiego z epoki rapperswilskiej, przygotowanych do druku pod znakiem Polskiej Akademji Literatury, uchwalono wydać zbiór korespondencji powieściopisarza, przyczem powierzono prezesowi P. A. L. Wacławowi Sieroszewskiemu napisanie wstępu do wydawnictwa, a Juljuszowi Kleinerowi opracowanie redakcyjne tekstów przy pomocy p. dr. Tyszkowej,
5) wydelegowano sekretarza generalnego Juljusza Kadena-Bandrowskiego i Tadeusza Boya-Żeleńskiego do wzięcia udziału w uroczystościach trzechsetlecia Akademji Francuskiej, które odbędą się w Paryżu w dniach od 17 do 20 czerwca b. r.,
6) wybrano sąd konkursu na powieść, ogłoszonego w porozumieniu z firmą „Książnica Atlas". W skład sądu powołano z grona Akademików Literatury: Piotra Choynowskiego, Karola Irzykowskiego, Juljusza Kadena-Bandrowskiego, Jerzego Szaniawskiego i Tadeusza Boya-Żeleńskiego, oraz uchwalono zaprosić z poza P. A. L. Naczelnika Wydziału Sztuki Min. W. R. i O. P. Dra Władysława Zawistowskiego, Dra Emila Breitera, Kornela Makuszyńskiego i Dyrektora firmy „Książnica Atlas" Dra Jana Piątka,
7) przekazano Sekcji Bibljotecznej sprawę wymiany wydawnictw między P. A. L. a Ukraińską Akademją Nauk,
8) uchwalono urządzić 3-cie zebranie dyskusyjne, na którem Naczelnik Wydziału Sztuki Dr. Władysław Zawistowski wygłosi na zaproszenie Akademji odczyt p. t. „Elementy organizacyjne w sztuce",
9) uchwalono zaprosić do wygłoszenia odczytów na następnych dwóch zebraniach dyskusyjnych w końcu maja i z początkiem czerwca b. r. pp. prof. Tadeusza Kotarbińskiego i Artura Śliwińskiego,
10) przyjęto sprawozdanie Jerzego Szaniawskiego z wyjazdu do Łucka,
11) przekazano Sekcji do Spraw Zagranicznych projekt wydania Encyklopedji Polaków Zagranicą, z którym zwróciło się do P. A. L. Ministerstwo Spraw Zagranicznych,
12) uchwalono ogłosić w prasie, że Polska Akademja Literatury nie zajmuje się wydawaniem ocen nadsyłanych manuskryptów.

Odpowiedzi Redakcji

J. W. M. „O polskość budownictwa polskiego"—nie ukaże się w *Pionie*

J. T. D. „Zachód w defensywie"—do odebrania.

W. T. M. „Wychowanie nowego człowieka" nie pójdzie do druku.

St. O. „Czterdziestolecie kinematografji" do zwrotu.

J. R. W. „Konstytucja" i inne nie do zamieszczenia w *Pionie*.

J. W. „Grzech... miłość... zdrada..." nie dla *Pionu*.

J. Z. „Szczęście miłości" i inne do odebrania.

S. W. „Do nieprzyjaciół" i in. nie pomieścimy.

St. P. Z. „Odjazdu żołnierzy" i innych—nie skorzystamy.

A. Br. Przekłady i wiersze do zwrotu.

M. Gr. „Samobójstwo I. P." i „Nasi nieprizorni"—nie pójdzie do druku.

St. B. Z wierszy „Nocny szum potoków" i innych nie skorzystamy.

J. Sz. „Ad Delium" i innych wierszy nie wydrukujemy.

E. K. „Legja cudzoziemska" do zwrotu.

LEPSZE JEST WROGIEM DOBREGO

Lepsze jest wrogiem dobrego. Dobrze jest odłożyć trochę grosza, by zabezpieczyć się na wypadek niepowodzenia. Ale odkładając je do jakiejś szuflady w domu, narażamy nasze pieniądze na wielorakie niebezpieczeństwo. Pierwsze—że są pod ręką i w razie błahej potrzeby łatwo po nie sięgnąć, choćby przyszło później tego żałować. Drugie—to wszelakiego rodzaju nieszczęścia, które mogą nas pozbawić odłożonych oszczędności, jak pożar, kradzież i t. p.

Dlatego lepiej lokować zaoszczędzone pieniądze w kasie oszczędności lub banku. Są one tam bezpieczne i przynoszą oprocentowanie. Aby je wycofać, trzeba dokonać drobnych formalności, które jednak dają nam czas do ostatecznego namysłu.

Ale najlepiej ulokować oszczędności w Premjowej Pożyczce Inwestycyjnej. Są one równie bezpieczne jak w banku, dają również oprocentowanie, ale dają jeszcze możliwość wylosowania wysokiej premji, która nasze skromne oszczędności może przeobrazić w poważne kapitały.

Trzy razy do roku odbywać się będzie losowanie umorzonych obligacyj i premij. W wypadku umorzenia dostaniemy za stuzłotową obligację zł. 120; w wypadku wylosowania premji—możemy otrzymać od 500 do pół miljona złotych.

W przeciwieństwie do tych martwych oszczędności z szuflady, pieniądze, ulokowane w obligacjach Premjowej Pożyczki Inwestycyjnej, spełnią wielkie dzieło; dzięki nim zostaną uruchomione roboty publiczne, dzięki nim liczne rzesze bezrobotnych otrzymają pracę, dzięki nim odrobimy wiekowe zaniedbania cywilizacyjne.

F. B.

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

R